MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 23 WARSZAWA, 1 PAŹDZIERNIKA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

WAKACYJNA DYSKUSJA KONSTYTUCYJNA

NA schyłku pierwszej sesji III-go Sejmu Rzeczypospolitej, będącego z woli twórców Konstytucji marcowej drugą polską Konstytuantą, rozpoczęła prasa obozu rządowego dyskusję nad zmianą ustroju państwa. Dyskusja ta trwała przez całe wakacje ciał ustawodawczych, rosnąc i przenosząc się na łamy prasy innych obozów politycznych. Zarówno moment, jak i sposób rozpoczęcia tej dyskusji przez obóz rządowy są nader charakterystyczne.

Koalicja konserwatywno-radykalna, idąca do wyborów pod znakiem „jedynki", zbudowana została na wyłącznie negatywnej podstawie, ujętej popularnie, jako walka z sejmowładztwem i partyjnictwem. Pozytywnego programu, już chociażby ze względu na swe różnorodne części składowe o tendencjach wzajemnie się wykluczających, koalicja ta nie miała i mieć nie mogła. T. zw. współpraca z rządem, czyli poparcie dla istniejącego stanu rzeczy, było jedynem hasłem wyborczem bloku rządowego, programu na przyszłość nie wysunął podczas wyborów ani rząd, ani zorganizowany przezeń blok wyborczy. Brak pozytywnych elementów w programie wyborczym Bloku oczywiście nie był przypadkowy, ani wywołany względami „technicznemi", lecz wynikał z samego oparcia Bloku na różnorodnych żywiołach politycznych.

Takie postawienie sprawy przez obóz rządowy obniżyło ogromnie poziom walki wyborczej podczas ostatnich wyborów: dzięki niemu stała się ona nie walką idej, zwróconych ku przyszłości narodu i państwa, lecz generalnym rozrachunkiem politycznym nie tylko za pierwsze dziesięciolecie istnienia wskrzeszonej Reczypospolitej, ale także likwidacją starych animozyj, rywalizacyj i przeciwieństw z okresu walki o niepodległość.

Tego całkowitego braku programu, a więc także i programu ustrojowego, nie mogło zastąpić hasło „państwowości", gdyż i one pozbawione było i jest treści pozytywnej, a jest tylko negacją roli i znaczenia narodu w państwie. Stanowisko t. zw. „państwowe" jest u nas jedynie negacją stanowiska narodowego, a użyte zostało w walce politycznej dla rozszerzenia ram koalicji wyborczej, wymierzonej wyłącznie przeciwko obozowi narodowemu.

Naturalną konsekwencją swoistej genezy bloku rządowego było wejście jego do drugiej polskiej konstytuanty nie tylko bez sprecyzowanego, ale nawet zarysowanego programu ustrojowego. Doskonałą ilustracją tego stanu rzeczy w „Bloku Bezpartyjnym" była mowa prezesa klubu posła Sławka, ograniczająca się do mglistych i ogólnych postulatów, oraz przemówienie prof. Makowskiego, przewodniczącego z ramienia bloku Komisji Konstytucyjnej, przedstawiające sprawę rewizji Konstytucji, jako zagadnienie szczególnie trudne, zawiłe i odległe. To też jedynie Klub Narodowy poruszył dotąd materję konstytucyjną w nowym sejmie, wnosząc do laski marszałkowskiej projekt ustawy o Trybunale Konstytucyjnym (wniosek z dnia 24 kwietnia 1928 r. Druk sejmowy Nr. 38). Składając wniosek ten, Klub Narodowy wychodził z założenia, że przed przystąpieniem do prac tak istotnie trudnych i odpowiedzialnych nad zmianą Konstytucji, przedewszystkiem powaga samej Konstytucji musi być przywrócona.

Atoli, nazajutrz po zamknięciu pierwszej sesji sejmowej, podczas której „Blok Bezpartyjny" zachowywał wytrwałe milczenie o rewizji Konstytucji, nastąpiła nagła przemiana w stosunku Bloku do zagadnienia naprawy ustroju, i dowiedziano się z komunikatu prasowego, że Blok przystępuje do intensywnej pracy nad zmianą Konstytucji.

Zanim stały się wiadome najogólniejsze wyniki tych prac, odbyła się charakterystyczna dyskusja

w prasie Bloku nad metodą wprowadzenia w życie zmiany ustroju. Podczas gdy jedno pismo konserwatywne zalecało nowe wybory z presją administracyjną, mającą zapewnić większość przyszłemu programowi Bloku, inne pismo, również konserwatywne, potępiło „wybory starościńskie", jako środek demoralizujący i ludność i administrację, poczem wzywało do wprowadzenia nowego ustroju państwowego w drodze zamachu stanu.

Nawiasem mówiąc należy wyrazić zdziwienie, że w obozie rządowym mówi się o zamachu stanu, właśnie z okazji zmiany obecnej Konstytucji, która przecież nie jest już Konstytucją z 1921 r., na podstawie kompromisu stronnictw Sejmu Ustawodawczego opartą, ale Konstytucją z r. 1926, poprawioną przez profesorów Bartla i Makowskiego, a jeżeli poprawioną niekompletnie, to z przyczyn, które nie tkwiły w obozie narodowym, wysuwającym w czerwcu 1926 r, programu naprawy ustroju o wiele dalej idący *).

Stwierdzić możemy, że istnieje dziś już powszechne zrozumienie dla naprawy ustroju naszego państwa, wytworzone przez kilkuletnią dyskusję, prowadzoną i w nauce i w publicystyce. Jako rezultat tej dyskusji istnieją objektywnie ustalone tezy reformy, równomiernie traktującej zagadnienie zarówno rządu, jak i parlamentu. Opierają się one na doświadczeniu państwowem, a przez to samo wykluczają e k s p e r y m e n t y, mogące zbyt drogo kosztować naród.

Z dotychczas ogłoszonych projektów zmiany ustroju państwowego ze strony „Bloku Bezpartyjnego" i jego sympatyków, jak prezesa Bukowieckiego i prof. Jaworskiego, widać, że istnieją tam tendencje wystąpienia poza ramy tak pojętej reformy. Nie traktuje się przytem równomiernie wszystkich stron zagadnienia, lecz wpada się w jednostronność, biegunowo przeciwną jednostronności Konstytucji marcowej. Podczas kiedy Konstytucja marcowa faworyzowała element parlamentarny, projekty wspomniane przechodzą bez zastrzeżeń na stanowisko przeciwne—systemu prezydencjalnego.

Krytycznemu omówieniu tych projektów poświęcimy osobne uwagi, tu zaznaczymy, że wypływają one zarówno z założeń historycznych szkoły krakowskiej, jak również z widocznych tendencyj politycznych, całkowicie aktualnych i przypadkowo wmieszanych do dzieła zasadniczej reformy naszego ustroju.

Na tem miejscu ograniczymy się do wskazania na niebezpieczeństwo, związane z temi projektami: przerzucenie się od jednego systemu politycznego do przeciwnego stanowi eksperyment, którego wszystkich skutków obliczyć wprost niepodobna.

Wiąże się z tem jeszcze druga kwestja. Projekty te opierają się na fikcji prawnej „narodu państwowego" i także pod względem politycznym utożsamiają naród z ogółem obywateli państwa, chociaż ludność państwa składa się z elementów różnolitych, i nie wszystkie te elementy mają w stosunku do państwa tendencje dośrodkowe.

Z tych względów właśnie wskazano słusznie ze strony narodowej w obecnej dyskusji, iż przejście do systemu prezydencjalnego zagrozić może narodowemu charakterowi państwa.

Ideologja t. zw. „państwowa" opiera się na fałszywych przesłankach, nieodpowiadających rzeczywistości, a jako taka prowadzić musi do konstrukcyj sztucznych i niebezpiecznych eksperymentów. Tylko wiecznie młoda i żywa idea narodowa może być podstawą dla życia i rozwoju państwa.

WACŁAW KOMARNICKI

*) Patrz moją pracę: „O z m i a n i e k o n s t y t u c j i p o l s k i e j", Wilno, księgarnia Zawadzkiego, 1927.

ANTONI TROCZEWSKI

W DNIU 22 września rb. zmarł w Kutnie lekarz miejscowy Antoni Troczewski, z powodu swoich zasług społecznych jeden z najpopularniejszych ludzi w kraju. Miasto Kutno obdarzyło go godnością obywatela honorowego, państwo udekorowało (niezbyt hojnie) orderem oficerskim P o l s k i O d r o d z o n e j. Od r. 1890, prawie 40 lat, nie wychylał się poza Kutno, a jednak każdy w Polsce, kto miał czucie spraw narodowych, o nim wiedział, na niego liczył i nigdy nie doznał zawodu. Pracowitość jego i gorliwość obywatelska nie miały granic. Umiał być duszą swojego środowiska, które do godności ogniska społecznego podnosił, organizował i zagrzewał.

Był lekarzem — to był jego zawód, świetnie spełniany, ale jednocześnie spełniał wiele obowiązków społecznych, jako kierownik instytucyj publicznych, jako wydawca „Tygodnika Kutnowskiego", wreszcie jako prezes Kutnowskiego Koła stron. Narodowego. Taki był zakres jego zajęć w latach niepodległej już Polski, w latach schyłkowych. Wskutek przepracowania stracił oddawna zdrowie i ludzie, którzy go widywali, przypisywali jego żywotność i roboczość tylko cudownej organizacji ducha.

Rozkwit jego twórczości przypada na lata 1890—1910 od czasu kiedy osiadł w Kutnie. Urodzony w Warszawie w r. 1861, tutaj ukończył gimnazjum II i wydział lekarski. Był jakiś czas asystentem dr. Jawdyńskiego i jako znakomity już lekarz osiadł w Kutnie, w jednym z tych Obrzydłówków, o których dawniej z lekceważeniem się mówiło, a które nowy prąd narodowy dźwignął moralnie do znaczenia ważnych posterunków.

Jaki był stan Kutna i okolicy pod względem stosunków społecznych i towarzyskich można mieć pojęcie z korespondencyj Antoniego Troczewskiego w „Głosie" z r. 1891 (str. 586 i 621), które nadesłał wnet po rozejrzeniu się na miejscu, a podpisał konspiracyjnie „Kutnowianka". Uderzyły go przedewszystkiem złe stosunki sanitarne, brak kredytu chrześcijańskiego, upadek handlu, zanik wszelkich społecznych dążności wśród inteligencji, która w jakiemś kasynie

zgrywała się w karty, nie wiedząc o tem, co się dzieje w mieście, powiecie i kraju.

Troczewski zaczął za wskazaniami „Głosu" od elementarnej pracy w ramach praw przyznanych obywatelowi, oczywiście z poufnością porozumień, ale legalnie. Zaczął od straży ogniowej ochotniczej. Zmusił inteligencję, że wstąpiła do jej szeregów, osiągając w ten sposób jakąś organizację ogólną, gdzie wszystkie łączyły się sfery. Wkrótce ta skromna instytucja stała się nieocenioną placówką narodową. Przed wojną, w czasie lat rewolucyjnych zwłaszcza, i w czasie wojny była to w Kutnie jedyna szersza organizacja, wprowadzająca ład w życie. Troczewski doprowadził do tego, że ze składek drobnych stanął Dom Strażacki, który faktycznie był Domem Narodowym, jak go później nazwano. W jego murach ogniskowały się wszystkie poczynania społeczne, zebrania, odczyty, zabawy, bibljoteka, czytelnia. Tam też był teatr, oparty przez Troczewskiego na kółkach teatrów amatorskich. Robota rozchodziła się oczywiście na powiat, była wzorem dla powiatów dalszych (jak Gostyński). Wpływ tej pracy kulturalnej był wielce dla rozwoju życia dobroczynny. Troczewski w tym okresie pracy przygotowawczej, 1890 — 1900, wyrwał inteligencję powiatową ze śpiączki i upadku moralnego, stwarzając przez to kadry, gotowe do podjęcia zadań donioślejszych. A siłą moralną tego dźwigania był nakaz patrjotyczny, którym Troczewski władał po apostolsku.

Po tym okresie wychowawczym nastąpił okres pracy politycznej, już nielegalnej, pracy zakonspirowanej przed władzami.

Przed wojną istniała we wszystkich dzielnicach Polski tajna organizacja Ligi Narodowej, zmierzająca do organizowania sił narodowych w celu odzyskania niepodległości. Zawdzięczała ona swój wpływ takim ludziom, jak Troczewski. Mianowany w tych czasach komisarzem na powiat Kutnowski, rozwinął rozległą a płodną działalność, wiążąc ją z działaniem organizacyj innych okolic. Była to praca przedewszystkiem wśród ludu zarówno wiejskiego, jak miejskiego. Równolegle z działalnością oświatową, do której wprzęgnięta była młodzież uniwersytecka, mająca swoje kadry zakonspirowane, odbywało się formowanie „kół narodowych", rozpowszechnianie „Przeglądu Wszechpolskiego" i „Polaka".

Komisarjat Kutnowski promieniował dokoła, nawiązując stosunki regularne z Włocławkiem, gdzie Troczewski wynalazł dzielną siłę w osobie adwokata Domaszewicza, a stąd w powiecie Nieszawskim. Na Łęczyckie Troczewski sięgał przez dzielnego ziemianina Śliwińskiego i chłopa Michałkiewicza.

W samem Kutnie w latach 1901 — 1905 funkcjonowało, dzięki Troczewskiemu, 25 kół narodowych rzemieślniczych (podział na dziesiątki). Każde koło miało swego dziesiętnika, a każde dziesięć kół setnika. Zebrania odbywały się co tydzień późnym wieczorem w lokalach zakonspirowanych, uczono się tam jak w szkole wiadomości o narodzie i obowiązku wobec niego. W powiecie takich kół włościańskich było 70. Organizacje te tropione były przez żandarmów, ale były też solą w oku socjalistom. Przypomnijmy sobie głośną broszurę F. Daszyńskiego „Pod pręgierz" (ok. 1890 r.) pełną napaści na Ligę i Zw. Młodz. Polskiej. W r. 1905 rzucili oni na Kutno całe falangi agitatorów i bojówek, aby pracę Troczewskiego zniszczyć. Praca ta była dopiero w zawiązku, śpieszono się tedy, aby zapobiec rozwojowi sił narodowych. Terror i demagogja tych działań „rewolucyjnych" poczyniły wiele spustoszenia wśród ludności wiejskiej i wśród inteligencji, nie wyrobionej jeszcze politycznie. Wiele sił organizacje narodowe rozproszyć musiały na walkę na dwu frontach. O tem, że działalność narodowa miała dwa fronty wrogie — rosyjski i wywrotowy — zbyt często się zapomina, a ta okoliczność była zasadniczą w walce o niepodległość.

Współpracownikami komisarza Troczewskiego w powiecie byli znakomici ziemianie: Marjan Kiniorski, Leon Lissowski, Bolesław Wyganowski, Antoni Skarzyński, a z włościan: Ludwik Dziedziczak, Kazimierz Jedliński i w. innych. W Kutnie samem Troczewski miał koło siebie wypróbowanych działaczy: felczera Ludwika Siekierskiego, rolnika Wład. Kaźmierskiego, adwokata Feliksa Wąsowskiego, gorzelanego Bronisława Rzeszotarskiego, urzędnika z dóbr Kutnowskich Stefana Kossiora, stolarza Józefa Kiełczewskiego, felczera St. Kamińskiego i in.

Za najwybitniejszego działacza i głównego swego współpracownika Troczewski uważał Władysława Kaźmierskiego.

Umyślnie przytaczam niektóre nazwiska, aby opowieść o śp. Troczewskim nie wyglądała na mit. Wielu z tych pracowników żyje i da wymowniejsze świadectwo prawdzie, niż ja to mogę uczynić. To pewna, że wszystkie te nazwiska wpisane być powinny na złotej tablicy w Domu Narodowym w Kutnie, jako bardzo zasłużone Ojczyźnie. Oto praca regjonalna prawdziwa, wypływająca ze współzawodnictwa okolic, która więcej dla narodu zdziała.

Należy sobie uprzytomnić, jaki to był niezmierny wysiłek dla jednostki taki żywot 40 niemal lat w najtrudniejszych warunkach prowincjonalnych, a z tych lat najmniej 25 pracy zakonspirowanej, która poruszała tysiące ludzi. Gdybyż to była walka solidarna całego społeczeństwa z wrogiem tylko zewnętrznym. Od r. 1905 do końca wojny pracownicy narodowi mieli przeciwko sobie międzynarodówkę, która się wkradała do wnętrza społeczeństwa i robotę narodową paraliżowała zrazu pod hasłem: precz z „białą gęsią", a gdy to nie szło, pod sztandarem tej „białej gęsi", ale po stronie państw centralnych.

Połączonemi wysiłkami działaczy narodowych tego typu, jak śp. Troczewski, w ogniu walki dźwigał się naród polski z upadku i rwał kordony, aby na sąd ludów w wyniku wojny przeczuwanej stanąć jako ciało, zdolne do życia niepodległego. Ci, którzy dawniej walczyli z tą robotą, a dzisiaj przychodząc do gotowego i czyniąc z wolności swój pióropusz, dopiero teraz uczą się elementarnych praw życia narodu, nie zdolni są psychicznie do ocenienia tego trudu.

Nad grobem wielkiego patrjoty, człowieka czynu i nieprzebranego w miłości serca, powiedzieć trzeba prawdę, już nie polityczną, ale czysto ludzką.

Szkoła socjalistyczna w Polsce liczy tyleż lat, co i szkoła narodowa nowożytna Troczewskiego. Abstrahując od dróg i wyników politycznych, patrzcie co się stało z naturą ludzką w tych szkołach. Wychowańcy tych kadrów socjalistycznych mogą dojść do stanowiska mechanicznie, ale nie mają dostępu do narodu, bo wyniszczyli w sobie miłość, która jest zasadniczym do narodu dostępem. Nienawiść wyniesiona z walki klas a przeniesiona potem (za poduszczeniem ducha międzynarodówki) na to wszystko, co stwarza z narodu indywidualność dziejową, i na tej indywidualności rzeczników, stała się ich naturą i udaremnia im współżycie z narodem, które zawsze będzie tylko albo podstępem, albo awanturą.

Metoda współdziałania z życiem właściwa sternikom obozu narodowego, wytwarza zasadniczy w niej charakter zaparcia. Rodzi się on z umiłowania środo-

wiska i z troski o wydobycie z niego dodatnich czynników twórczych. Jednostka, wydobywając z siebie *maximum* siły moralnej, zaciera się, nie dba o chwałę i dziecinne zadowolenie chwili, staje się siłą historyczną zbiorowości. Na to, żeby świat szeroki dowiedział się o takim Troczewskim, trzeba czekać jego śmierci. Naród wzniesie mu trwalszy nad spiż pomnik w pamięci swojej. Na tem polega trwałość życia na wieki obliczonego, że zasługi się kapitalizują i nie są wydzierane siłą na użytek głupich ambicyj i triumfów dorywczych.

Ci, co patrzyli zbliska na Troczewskiego, świadczą, że był to człowiek cnót franciszkańskich. Uczynił z siebie aparat służby publicznej, żył dla sprawy i w niej znalazł żywot wieczny.

W ostatnich czasach z radością opowiadał, że przybył do Kutna, aby go nawiedzić w chorobie, Roman Dmowski.

Po wielu latach niewidzenia się spojrzeli sobie pogodnie w oczy, równi sobie wobec sprawy — on na swojem Kutnowskiem, ten na Polsce, jako jej wódz i wskrzesiciel. Robili, nie porozumiewając się, to samo na różną skalę.

Nikt nie zginął, póki Polska żyje. Zsuwają się szeregi, a pamięć zasłużonych dodaje im siły.

ZYGMUNT WASILEWSKI

DWIE OLIGARCHJE

ŚWIAT cywilizacji współczesnej, mianowicie inteligencja narodów białych coraz wyraźniej rozpada się na dwa wrogie obozy, które różnią się od siebie we wszystkiem — począwszy od filozofji a kończąc na zagadnieniach gospodarczych. Jest rzeczą możliwą, że pod tak wszechstronnemi różnicami ukrywają się dwa różne typy biologiczne człowieka białego, typy tu i owdzie przeczuwane przez myślicielów, ale wyraźnie jeszcze nie określone. Nie schodząc w tej chwili do tych głębin, pragnę tylko zaznaczyć, że świadomość ich istnienia powinna przyświecać każdemu naszemu rozważaniu na temat, który tu sobie obrałem.

Obozy, lub typy, o których mowa, różnie mogą być nazywane, a to zależnie od dziedziny, w której się przeciwstawiają. W filozofji inaczej, w religji inaczej, w socjologji lub w polityce — jeszcze inaczej. Jednakże, mimo wielkiej różnorodności tych dziedzin, życie samo odnalazło punkt względem którego wszystkie są niby koła różnej wielkości i różnych płaszczyzn, ale — współśrodkowe. Tym punktem jest naród, ściślej mówiąc — zagadnienie narodu. Znajduje się ono na przecięciu płaszczyzn, stanowi przeto praktyczny i trafny sprawdzian, wyznaczający przynależność do tego lub tamtego obozu (lub typu) — we wszystkich sferach myśli i czynu. Ludzie odczuli to intuicją, sprawdzili doświadczeniem i tym sposobem obozy te we wszystkich krajach otrzymały nazwę — jeden narodowego, drugi — międzynarodowego.

Taki lub inny stosunek do zagadnienia narodu zalicza danego człowieka, lub daną ideję do tego lub tamtego obozu. Obóz narodowy dlatego tak się nazywa, że broni istnienia i celowości odrębnych narodów nietylko z punktu widzenia socjologji, ale i filozofji, moralności i biologji. Przeciwnicy oczerniają go, utrzymując, że obóz ten uważa siebie i tylko siebie za naród. Jest to ordynarna, na motłoch uliczny obliczona sztuczka logiczna, niegodna, by z nią polemizować. Zaś obóz miedzynarodowy dlatego tak się nazywa, że odrębność narodów uznaje za zło i pragnie zniszczyć narody, sprowadzając je do jednego mianownika jednej wielkiej gromady — ludzkości. Narodowcy jednak nie oczerniają go i nie głoszą, że on siebie i tylko siebie uważa za ludzkość. Przy sposobności w nawiasie zanotujmy powszechność tego zjawiska: wszędzie i zawsze obóz narodowy walczy i rozumuje uczciwie, zaś międzynarodowy — nieuczciwie. Jest to ważny przyczynek do ustalenia różnicy duchowej obu typów biologicznych.

Nie zapuszczając się w historyczny przebieg kształtowania się obu obozów i nie rozpraszając uwagi na inne kraje, zaznaczmy, że w dobie obecnej w Polsce do obozu międzynarodowego należy masonerja, socjalizm, komunizm oraz różne pokrewne im grupy i prądy filozoficzne, społeczne i religijne, zaś do obozu narodowego należą stronnictwa narodowe, katolickie, Obóz Wielkiej Polski, oraz ugrupowania społeczne lub ideowe, do nich ciążące. Ponieważ międzynarodówką kieruje masonerja, w której tajemnym sztabie, zasiadającym w New-Yorku, przeważa plutokracja żydowska, więc cały ten obóz dla jego treści istotnej oraz dla krótkości można nazywać masonerją.

Tak oto w każdym kraju, w każdym narodzie poszczególnym stają naprzeciw siebie do walki: masonerja i nacjonalizm danego narodu. Innemi słowy naród żydowski posługując się międzynarodową organizacją masońską prowadzi wojnę przeciwko wszystkim narodom cywilizacji. Pozostaje to w zgodzie z odwieczną tradycją, religją i ideologją narodu żydowskiego. A i analiza ducha masonerji, jej programu i metod bez cienia wątpliwości wykazuje wszędzie pierwiastki i cechy żydowskie. Mamy więc w ostatecznym wywodzie wojnę pomiędzy nacjonalizmem żydowskim z jednej strony a nacjonalizmem reszty narodów — z drugiej. Różnica jest tylko ta, że nacjonalizm żydowski jest złośliwy, napastliwy, zamaskowany i dąży do zniszczenia innych narodów, zaś nacjonalizmy ludów przezeń napadniętych mają postawę względem niego jawną i obronną. To nam jasno tłumaczy *furor iudaicus*, z jakim masonerja rzuca się na każdy, oprócz żydowskiego, nacjonalizm.

Z powyższego ogólnego obrazu tych zapasów to przedewszystkiem zwraca uwagę metodologa, że z jednej strony jest jeden przeciwnik, a z drugiej—wielu, wiele narodów, wiele nacjonalizmów, nie połączonych ze sobą w jedną całość, a często obojętnych wzajem lub nawet wrogich. Tego rodzaju położenie pod pewnemi względami stanowi siłę masonerji, zaś pod innemi — siłę narodów poszczególnych. Odkładając na kiedyindziej bliższą ocenę tego położenia, można tu zaznaczyć mimochodem, że siłę odosobnienia nawiedzonych przez masonerję narodów uważać trzeba za większą i w przyszłości — zwycięską. Dlatego chybione są próby umiędzynarodowienia nacjonalizmów i ujednostajnienia ich frontów przeciwko masonerji i żydostwu. Naocznym dowodem słuszności stanowiska tego jest Italja. Odosobnienie różnych nacjonalizmów nie wyłącza jednak ich wzajemnego w tej sprawie porozumienia i współdziałania. W każdym razie—wróg jest wspólny, o czem trzeba pamiętać.

O ile odosobnienie różnych narodów w walce z masonerją jest ich siłą, o tyle rozproszenie stronnictw i grup, walczących z masonerją w narodzie poszczególnym, jest jego słabością. Masonerja zna tę prawdę i dlatego do głównych jej metod taktycznych należy mącenie i rozbijanie narodu na możliwie największą ilość stronnictw we wszelkich życia dziedzinach. W narodzie tak skłóconym ona ciągle władzy pochwytuje, stanowiąc w nim zwartą i solidarną oligarchję.

Zapytajmy przeto, co ma w wojnie tej czynić naród zagrożony? Obok pracy myślowej poznawania danego niebezpieczeństwa, propagandy odpowiedniej i t. d., jaki ma być pierwszy i zasadniczy krok i czyn narodu w sprawie tak ważnej i pilnej? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w głównem socjologicznem prawie władzy, a równocześnie w podstawie taktyki samej masonerji.

Prawo władzy jest to, że gromadą zawsze i wszędzie rządzi oligarchja. Zaś cała organizacja masonerji świadczy niezbicie, że zna ona i ceni najwyżej to prawo. Masonerja zorganizowana jest na zasadach oligarchji, żydostwo nad nią — również. Żaden naród w całości swej i bezpośrednio nic przedsięwziąć, ani uczynić nie może, ani rządzić sobą, ani walczyć, ani się bronić. Rządzi nim i prowadzi go zawsze tylko jakaś oligarchja — albo ta, która za jego zgodą z niego się wyłania, albo ta, która pomimo jego woli, lub wbrew jego woli swoje mu rządy narzuci. Innej istoty rządów niema na świecie i być nie może, chociaż ich formy zewnętrzne i pozorne mogą być wielorakie.

Otóż z chwilą, gdy masonerja władzę w kraju pochwyci, naród sam, jako całość, bronić się przed nią nie może, ulega władzy, bez władzy bowiem, bez rządów, życie gromadne jest niemożliwe. Naówczas pierwszym obowiązkiem inteligencji narodu staje się stworzenie odpowiednio silnej i zwartej oligarchji o charakterze społecznym, któraby, będąc w opozycji do tamtej, dążyła do pozyskania władzy pełnej w narodzie, a zatem — i politycznej. Wytwarza się wtedy takie położenie, że w kraju istnieją dwie oligarchje, walczące ze sobą o władzę, z których jedna stoi u steru rządów. Ogół, naród jest przedmiotem tej walki.

Jednocześnie zaś płynie życie bieżące, które pod grozą powszechnej dla kraju katastrofy nie może być ani na chwilę wstrzymane, płynie zatem pod kierunkiem oligarchji rządzącej. Gdy druga, opozycyjna oligarchja dojdzie do władzy, ich role się odwracają. Taka jest zwykła, przez historję stwierdzona i przez naukę oświetlona kolej tego rodzaju zapasów aż do czasu, gdy duch całego narodu ściśle zespoli się z duchem jednej, mianowicie własnej oligarchji. Wtedy dzieje narodu przez czas dłuższy toczą się nurtem głębokim i pełnym.

W wypadku poszczególnym, kiedy naród ma do czynienia z oligarchją obcą o charakterze międzynarodowym, wyjątkowo złośliwą i niebezpieczną, oligarchja narodowa, będąca w opozycji, ma zadanie wyjątkowo trudne i odpowiedzialne. Musi ona stanąć na wyżynach moralności, zwartości, siły i techniki organizacyjnej. Musi przyświecać jej wielki rozum polityczny, spokój i takt w poczynaniach, dźwiga bowiem na sobie losy narodu własnego, podczas gdy tamta, jako obca i wroga, łatwo i z czystem sumieniem ciężar ten o ziemię ciska. Ten wzgląd jasno tłumaczy rewolucyjność metod oligarchji obcej, oraz ostrożność i praworządność oligarchji własnej. Łatwo zrozumieć, że taki stosunek do narodu obu przeciwników znakomicie ułatwia ruchy napastnikowi, a utrudnia jej obrońcy.

Dopiero w świetle tych, choć bardzo ogólnikowych, wywodów sprawiedliwie da się ocenić przebieg wypadków polskich ostatniego dziesięciolecia. Krótki ten i ciężki okres dziejów Polski, z pod jarzma Niemiec i Rosji wyzwolonej, kończy w ostatnich paru latach syntetyczne, pierwszorzędnej wagi wydarzenie polityki wewnętrznej, wydarzenie — poza całą swą realnością — głęboko symboliczne. Wydarzeniem tem jest stworzenie Obozu Wielkiej Polski. Obóz ten — to narodziny nowej oligarchji.

Trzeba wejść na wysoki szczyt wiedzy o życiu społeczeństw i narodów, ażeby czyn Dmowskiego ocenić w całej jego genjalności. Oligarchja, której zaczątek tkwi w O. W. P., od pierwszej chwili wolą jej twórcy postawiona została na zasadach, które starałem się w skrócie tu zaznaczyć. Najwyższy poziom moralny, hierachja organizacji, oddzielenie się od polityki bieżącej z pozostawieniem jej narodowym stronnictwom sejmowym, powołanie sił najmłodszych, dalekie i proste wytyczne celów ostatecznych — oto zasady Obozu, które wyraźnie świadczą, jak przenikliwym politykiem i jak spokojnym a silnym wodzem jest Dmowski. Daleko widzi, daleko mierzy i żadną burzą dziejową nie da się ze swej równowagi wytrącić. Najdokładniejsze pomiary naukowe, w przyszłych badaniach historycznych poczynione, wykażą bez wątpienia to, co i dziś uczony a bezstronny socjolog wiedzą swą stwierdzić musi, że, mianowicie, droga, którą narodowi wskazał Dmowski, jest w tem położeniu jedyna.

Na szczególną uwagę w założeniu Obozu Wielkiej Polski zasługuje fakt pozostawienia polityki bieżącej stronnictwom politycznym. Zdaje mi się, że dotychczas mylnie ten nakaz twórcy Obozu tłumaczono sobie, lub pomijano go obojętnie. A jednak w tym właśnie nakazie ukrywa się igła magnesowa kompasu, którym kierował się wielki polityk. Narodowa polityka bieżąca musi być w obecnem położeniu kompromisowa, zaś oligarchja, która stwarza się i rośnie, jako do najwyższych celów przeznaczona, nie ma prawa znać kompromisów. Oto podwójny, a z jaką precyzją naznaczony, cel pomienionego nakazu.

Szczegół ten, niby wytworne a trudne cięcie w operacji chirurgicznej, musi w umyśle znawcy wywołać podziw dla artyzmu takiego posunięcia politycznego. Wszystko tu jest: i troska obywatela o teraźniejszość narodu i znajomość najbliższych dróg trudnych, które naród przebyć musi, i dalekość perspektyw historycznych i wiara w ostateczne zwycięstwo i spokój w pozornym a chwilowym odwrocie na tym lub owym odcinku bojowym i skromność osobista wielkiego taktyka i duma narodowa wielkiego stratega i dokładna wiedza doświadczonego, praktycznego socjologa i wola szlachetnego moralisty.

Sądzę, że tylko w ten, pobieżnie tu przedstawiony, sposób należy patrzyć na powstanie O. W. P., to znaczy, jako na zaczątek nowej oligarchji polskiej. Młoda ona i ma przed sobą zadania trudne, ogromne i szczytne. Urodziła się w okopach najpotworniejszej wojny cywilnej, polityczno-społecznej, która cywilizacją ludów potrząsa, pierwsze lata swego istnienia spędzi w twardej szkole walki z przeciwnikiem sil-

nym, złośliwym i w środkach z gruntu niemoralnym, pracę swoją rozpoczyna w niesłychanym chaosie spraw, wikłanych umyślnie przez matactwa, oszustwa, prowokacje i zbrodnie wroga międzynarodowego, tworzywo jej — naród polski, w szczególności warstwy oddolne burzone przez wroga — tworzywo to dopiero trzeba zdobyć i na swój szlak pociągnąć... słowem, czekają tę oligarchję prace herkulesowe. Czy i jak im podała, to przyszłość pokaże. Tymczasem jedno, na dziś najważniejsze, zadanie dzięki Dmowskiemu zostało spełnione: oligarchja powstała i wie o swojem przeznaczeniu.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

UWAGI O WIELKIEJ REWOLUCJI

REWOLUCJA francuska z końca XVIII-go wieku uzyskała w historji urzędowej miano „wielkiej", które ją wynosi ponad wszystkie rewolucje, jakie były przed nią i po niej.

Rewolucji rosyjskiej nikt przecie nie nazywa „wielką", chociaż ona rozmiarami swojemi t. j. nietylko rozmachem rewolucyjnym (spustoszenia, okrucieństwa i t. p.), lecz i rozległością „reform", dokonanych w myśl zasad rewolucyjnych, przewyższa rewolucję francuską.

Legendę „wielkości" rewolucji francuskiej stwarzali i ustalali zarówno jej wielbiciele, jak i przeciwnicy; jedni i drudzy stawiali ją bowiem ponad człowieczeństwem, tylko pierwsi wyprowadzali ją z nieba (*sui generis* — oczywiście), drudzy — z piekła. Jedni widzieli w niej jutrznię świata, inni — jego koniec.

Z legendy tej wprawdzie, w miarę postępu badań nad rewolucją francuską, nie wiele zostało, właściwie pozostał sam tytuł: „wielka". To wszakże wystarcza, by budzić dla niej zabobonną cześć wśród wyznawców demokratycznego porządku rzeczy w świecie.

Nie jeden „szczery" demokrata, potępiając rewolucję bolszewicką, będzie jednocześnie z uwielbieniem wspominał i powoływał się na „wielką" rewolucję francuską, jako na wypadek dziejowy, który ziścił najświętsze marzenia oraz ideały demokratyzmu.

Przez myśl mu nie przejdzie, że te dwie rewolucje są bardzo do siebie podobne, że obie były wielkiem przedsiębiorstwem w celu wywłaszczenia i eksterminacji, z tą tylko różnicą, że pierwsza dokonywała tego wszystkiego pod szyldem „nieśmiertelnych praw człowieka i obywatela", — druga zaś, szczersza pod tym względem, pod hasłem: „morduj i łup to, co było złupione".

I nie można się dziwić takim czy innym demokratom, że olśnieni wspaniałością tych praw „nieśmiertelnych", ślepną na to, co było ich wynikiem, a zapatrzeni w jasne oblicze swego bóstwa, nie widzą jego oblicza ciemnego.

Jakże można byłoby mieć to za złe prostaczkom z pośród demokracji, kiedy światli, uczeni jej wyraziciele tem samem grzeszą, i dziś jeszcze, pomijając czasy dawniejsze, nietylko starają się wciąż podnieść blask i wielkość dzieła rewolucji 1789 r., lecz szczycą się tem, że ich poprzednicy w myśleniu i działaniu demokratycznem wszystko mądrze podówczas przygotowali i byli „duszą jawną bądź ukrytą wszystkich ruchów ludowych i społecznych, których suma utworzyła rewolucję"...

Tego rodzaju przeświadczeniem upaja się np. Gaston Martin, autor niedawno ogłoszonej książki „*La Franc — Maçonnerie française et la preparation de la révolution*" (Paryż 1926 r.), — podobnież zapatruje się obecny profesor historji Rewolucji w Sorbonie, p. Filip Sagnac.

Utrzymują się więc wciąż, na użytek mas demokratycznych, rozmaite legendy związane z rewolucją francuską, ponieważ, jak to kiedyś dosadnie wyraził Clemenceau (niestety!) rewolucję trzeba przyjąć... „*en bloc*".

Jak jednak farsowato przedstawiają się te legendy, dość tu powołać się na jedną z najbardziej ukochanych, mianowicie na legendę Bastylli. Dzień 14 lipca jest świętem narodowem Francuzów, dniem chwały, w którym rok rocznie deklamuje się na temat symbolu „tyranji i despotyzmu", jakim miała być Bastylla. Badania historyków (Funck — Brentano) wykazały, że ten rzekomy przybytek despotyzmu był dość niewinną instytucją. Dość powiedzieć, że w dniu zdobycia Bastylli przez rozbestwiony tłum paryski, w jej murach było uwięzionych — czterech fałszerzy pieniędzy, jeden rozpustny młodzieniec, zamknięty na prośbę jego rodziny, i dwóch ludzi niespełna rozumu, których nazajutrz trzeba było umieścić w Charenton. Słowem, ofiar despotyzmu nie było, jak nie było dowodu bohaterstwa przy zdobywaniu Bastylli, mimo to legenda o niem powstała nazajutrz, a jeden z najohydniejszych mordów niewinnych ludzi stał się w oczach potomnych wyrazem szczytnej obrony wolności przez cały naród, wymierzający najwyższą sprawiedliwość jej wrogom.

Inne legendy rewolucji francuskiej nie lepiej się przedstawiają, tak że jej „*bloc*", rozbity i pokruszony na miazgę przez historyków nie unikających prawdy dziejów, może być „przyjmowany" w stanie nietkniętym tylko przez tych, co o wynikach badań naukowych nic nie wiedzą, albo przez tych, którzy świadomie z niemi się nie liczą, jedni z obawy utraty drogich złudzeń, inni wprost ze względów pożytku osobistego.

Jak w rzeczywistości wygląda ów legendarny „*bloc*" rewolucji francuskiej, można się przekonać, biorąc do rąk świeżo wydaną książkę jej poświęconą, której autorem jest młody historyk, P. Gaxotte. („*La Révolution Française*" Paris 1928 r. str. 447).

Książka ta cieszy się we Francji niezwykłem powodzeniem, w przeciągu paru miesięcy rozeszła się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, i wciąż wychodzą nowe jej wydania. Powodzenie to jest jaknajbardziej zasłużone, autor bowiem nietylko dał tu pełną życia syntezę szczegółowych badań, z ostatnich paru dziesiątków lat, mających za przedmiot rewolucję francuską, lecz także przedstawił jej początki oraz rozwój w sposób nadzwyczaj ścisły i jasny, niepozostawiając czegokolwiekbądź bez należytego wyjaśnienia oraz udokumentowania.

Rzecz ta daje pełne zadowolenie umysłowe dlatego, że autor oceniając wypadki rewolucji niezależnie, zgodnie z własnemi przekonaniami, niczego zgóry nie przesądza, wszystko stara się naprzód uczynić zrozumiałem, roztoczyć przed czytelnikiem nieunikniony łańcuch przyczyn i skutków. Dla tych, którzy dotychczas spoglądali na dzieje rewolucji francuskiej przez szkła takich np. jej badaczów, jak Mignet, Michelet, Aulard, Jaurès i t. p., niektóre poglądy Gaxotte'a mogą wydać

się czemś nieprawdopodobnem, tak bowiem odbiegają daleko od powszechnie przyjętych mniemań. Oto, naprzykład, zakończenie pierwszego rozdziału książki Gaxotte'a („*l'Ancien régime*"), obrazującego stan Francji przed rewolucją: „nie w kraju wyczerpanym, lecz w kraju kwitnącym i w pełni rozwoju wybuchnie Rewolucja".

Ogół święcie wierzy, że wybuchnęła ona właśnie w kraju wyczerpanym, doprowadzonym do tego stanu przez wieki rządów despotycznych i t. p., tymczasem ktoś przychodzi „z dokumentem w ręku" i powiada: było wręcz przeciwnie. Niejeden, broniąc się przed prawdą, wykrzyknie: „tak mówi wróg Rewolucji, reakcjonista — istota rzeczy inaczej wygląda!" Okazuje się jednak, że pogląd „reakcjonisty", chociaż jest jego własnym poglądem, wynikłym z badań naukowych, zgadza się z poglądem zwolennika rewolucji, radykała, ale ścisłego jej badacza, jakim jest wybitny historyk współczesny Mathiez.

Tego rodzaju niespodziankami, zbijającemi z tropu karmionych rozpowszechnianemi o rewolucji francuskiej komunałami, wypełniona jest książka Gaxotte'a.

W dalszym ciągu autor stwierdza, że Francja przed rewolucją nie była nieszczęśliwa, że mogła mieć powody do niezadowolenia, lecz nie do buntu. Z dwóch wielkich zagadnień, które narzucały się jej uwadze, a były niemi: zniesienie resztek feudalizmu i reforma finansowa, żadne nie było niemożliwe do rozwiązania, gdyby nie wstrząs moralny i intelektualny, który do głębi dotknął duszę francuską. To właśnie sprawiło, że się komplikowały najmniejsze zatargi, a sytuacja, która była tylko trudna, stała się z początku niepokojącą a następnie beznadziejną.

Dramat XVIII wieku, powiada Gaxotte, nie spoczywał, w gruncie rzeczy, w wojnach oraz „dniach" Rewolucji, lecz w rozprzężeniu i odwróceniu idej, które oświecały i panowały w siedemnastem stuleciu. Rozruchy i morderstwa będą tego uderzającym i krwawym wyrazem. Gdy one przyjdą, prawdziwe zło oddawna już będzie spełnione.

Tu autor, w paru świetnych rozdziałach, odtwarza stan umysłowy i moralny społeczeństwa francuskiego w drugiej połowie XVIII-go wieku, mówi o tem, z jakiego to „ducha filozoficznego", którym się przeniknęły kierownicze sfery społeczeństwa — i za czyją sprawą — powstał „duch rewolucyjny", z tego zaś odpowiednia „polityka rewolucyjna".

Są to wszystko rzeczy dobrze znane, ośmieszane nawet niegdyś, co się wyraziło w klasycznem zdaniu: „*c'est la faute à Voltaire, c'est la faute à Rousseau*"...

Być może, sądzę jednak, że ci nawet, co z innego punktu widzenia rozpatrują zjawiska rewolucji francuskiej, znajdą w ich ujęciu przez Gaxotte'a dużo rzeczy dla siebie nowych i niezwykle pouczających. Przytaczam jedną z wielu: „Pierwszem zadaniem polityki rewolucyjnej — powiada autor — rzec można jej zadaniem jedynem, było zniszczenie i przeszkodzenie odrodzeniu się wszystkich organizmów przyrodzonych, które do tego czasu obejmowały i podtrzymywały jednostkę ludzką, a które odtąd będą uważane jako uciskajace i niemoralne. Własność, rodzina, korporacja, miasto, prowincja, ojczyzna, kościół: oto ile przeszkód do obalenia. Może ktoś zarzucić, iż większość obywateli ma je w poszanowaniu, że jest do nich przywiązana i znajduje w nich szczęście oraz spokój duszy. Nic to nie znaczy wobec bowiem Wolności nie istnieje wolność.

Jeśli „Wola ogólna" nie przemawia przez nich, to znaczy, iż są oni przewrotni i zepsuci, jest przeto obowiązkiem obywateli „świadomych" wyzwolić ich— wbrew nim samym.

Respublika, stawszy się religją, ma swoją prawowierność. Większość, wybory, głosowania—wszystko to jest fasadą, grą na którą łapią się naiwni, nie wychodząc ze zdziwienia, że reguły jej są zawsze stosowane przeciw nim. Pozatem istnieje małe stado wiernych i olśnionych. Oni są w posiadaniu prawdy; oni przysięgli sobie zapewnić jej panowanie. Są oni „Wolą ogólną". Co się tyczy ich przeciwników, to jakąkolwiek jest ich liczba, ich poszanowanie głosowania powszechnego, ich oddanie się formie republikańskiej, — będą oni zawsze arystokratami, reakcjonistami, heretykami, podług okoliczności uzupatorami, gdyż tak samo jak jest król „prawowity", istnieje lud prawowity. Przeciw nim wszelkie środki są dozwolone: oszustwo wyborcze, zarówno jak gilotyna... Będą uznani jako podejrzani wszyscy ci,.. którzy nie uczyniwszy nic przeciw Rewolucji, jednakże nic nie uczynili dla niej." (str. 62).

Tego rodzaju „duch rewolucyjny", zrodzony z „ducha filozoficznego", jaki zapanował w XVIII-ym wieku, wykolejając umysły i znieprawiając dusze, zarówno u spodu, jak i na górze drabiny państwowej i społecznej, doprowadził Francję w 1789 r., w początku wybuchu Rewolucji, do tego stanu rzeczy, który ostatni jej historyk charakteryzuje zwięźle w ten sposób: „Władca, nie sprawujący swego urzędu; gabinet ministrów bez zasad, bez uroku i bez energji; Zgromadzenie w stanie buntu, zgubione w ideologjach, upoważniające własnym przykładem do wszelkich ekscesów, taki stan rzeczy nazywa się—anarchją". (str. 113).

W pierwszym okresie rewolucji znać jeszcze wpływ „ducha filozoficznego" na bieg wypadków; w następnych wszakże przycicha deklamatorski głos „filozofów" i „mistyków" rewolucyjnych, wyznawców „nieśmiertelnych" zasad i zaczyna dominować zachrypły głos fanatycznych doktrynerów oraz wszelkiego rodzaju wykolejeńców, karjerowiczów i przedsiębiorców rewolucyjnych, nicponiów i wyrzutków.

„Praca myśli i oczyszczenia (za pomocą gilotyny i t. p. — dodajmy) podjęta w rozmaitych stowarzyszeniach od czterdziestu lat, jest ukończona. Według najściślejszej logiki ich doktryna odbywa ewolucję od liberalizmu anarchistycznego do doktryny komunistycznej" (str. 343).

Na kierownicze stanowiska, na urzędy państwowe, wogóle w życie publiczne wchodzą i wdzierają się ludzie, o których powiada Gaxotte bez ogródek: „Nigdy straszliwsza władza nie spoczywała w rękach bardziej niegodnych". (str. 344).

Rozpoczyna się orgja eksterminacji i wywłaszczenia: „morduje się dużo, kradnie się jeszcze więcej"— powiada autor. W raporcie do rządu rewolucyjnego, Saint-Just doradza walkę z „bogaczami": „gdy zubożycie wrogów ludu, nie będą mogli już współzawodniczyć z nim". Dodać trzeba, że w niektórych okolicach kraju, „bogacze" rozpoczynają się od 1500, a nawet od 500 liwrów dochodu.

I tych jednak jest już nie dużo, bowiem: „majątki szlachty są skonfiskowane; dochody z rolnictwa oraz handlu unicestwione przez socjalizację; spadki rozdrobnione wskutek równego podziału; wierzytelności i hypoteki zredukowane do połowy lub dwóch trzecich z powodu bankructwa pieniężnego"... Nic to jednak nie szkodzi — obława na „bogaczów" organizuje się nadobre.

„Towarzystwo ludowe oraz municypalność, pisze „przedstawiciel" ludu Laplanche z Orleanu, winne mi niejaką wdzięczność. Aby zadośćuczynić ich potrze-

bom i pokryć ich długi, dałem im, zawsze na rachunek bogatych, jednemu 40.000 franków, drugiej — 49.000. Dwa dni mi wystarczyły w Bourges, żeby ściągnąć dwa miljony...“ (str. 345).

W Strasburgu Saint-Just otaksuje 193 notablów na sumę 10 miljonów, mających być wypłaconemi w przeciągu 24 godzin. Z tej sumy dwa miljony są przeznaczone dla „potrzebujących patrjotów“. „Patrjotyzm“ zatem rewolucyjny nieźle się opłaca, gilotyna wyciskała dla niego, razem z krwią „wrogów ludu“, co się dało jeszcze wycisnąć z kraju wygłodzonego i ogółu ludności, doprowadzonego do nędzy.

Co się działo wówczas w całym kraju, o tem mówi nie byle „reakcjonista“, lecz zwolennik rządu rewolucyjnego, wspominany już raz historyk Mathiez: „Włościanie — powiada — znękani rekwizycjami i szarwarkami, robotnicy wynędzniali z powodu chronicznego niedożywiania się, handlarze nawpół zrujnowani taksami, rentjerzy odarci z mienia przez asygnaty: z *régime*'u korzystało jedynie powiększone stado agentów nowej biurokracji oraz fabrykanci wojenni“. (str. 353).

A w jakiej sytuacji znajdowała się armja narodowa, walcząca na wszystkich frontach z najazdem całej niemal „despotycznej“ Europy, (zauważmy mimochodem: z najazdem wywołanym jeszcze przez „żyrondystów“, jedynie dlatego, by rewolucja mogła się rozwinąć i wydać swoje owoce), w jakich warunkach trzeba było organizować obronę ojczyzny? Oto jaką „strategję“ zaleca swoim generałom genjalny organizator tej obrony, Łazarz Carnot, który bezwrażliwie spoglądał na bezeceństwa swoich kolegów z rządu rewolucyjnego, byle mu tylko nie przeszkadzano w przeprowadzaniu planów wojennych: „Nie trzeba ukrywać przed wami — pisał Carnot do generałów walczących na wiosnę 1794 r. — że jesteśmy zgubieni, jeśli nie wtargniecie szybko do kraju nieprzyjacielskiego w celu zdobycia żywności oraz wszelkiego innego sprzętu; Francja bowiem nie może dłużej wytrzymać tego stanu w jakim znajduje się w obecnej chwili... Trzeba żyć na koszt wroga albo zginąć“. (352).

Do takiego stanu rzeczy doprowadziły Francję „nieśmiertelne“ zasady, wcielane konsekwentnie we wszystkie dziedziny jej życia przez rewolucję.

Komunizm jaskiniowców, jako system eksterminowania i wywłaszczenia, mordowania i okradania; głód i nędza mas ludowych, które się „równało“ w prawach i „wyzwalało“ wbrew ich woli, wbrew ich obyczajom i interesom — oto wspaniałe owoce zasad i czynów rewolucji.

Te wszystkie masy miały już powyżej uszu podobnego ich wyzwalania i pierwsze zareagowały na powyższy stan rzeczy. Była to, poprostu, reakcja żołądka...

„Reakcja, która nastąpiła po 9 Thermidora, jeśli była do tego stopnia ogólna i głęboka, to dlatego — powiada Gaxotte—że była całkowicie ludową“. „Arystokracja“, „bogacze“ — w niej nie występują. Robotnicy, chłopi i mieszczanie sa zgodni na tym punkcie, że biurokracja jakobińska powinna zniknąć, a z nią również wszystkie rekwizycje i wywłaszczenia.

Losy rewolucji społecznej zostały w ten sposób przesądzone; o losach natomiast rewolucji politycznej, którą ratują czas jakiś, rozmaitemi szwindlami i zamachami, pozostałe niedobitki jakobinizmu, przystosowując się do nowych sytuacyj, i mordując z kolei dawnych towarzyszów broni, poto by samemu nie dostać się pod nóż gilotyny, — zadecyduje zwycięski miecz tego generała, który wyrósł w cieniu rewolucji, z pogardą i nieufnością patrzał na jej orgje, a z błędów jej potrafił wkońcu skorzystać.

Szczęściem nietylko dla siebie samego, lecz i na chwałę Francji, co, jak słońce wschodzące, rozproszyło brudne mgły i zgniłe opary, rozsnute przez szereg obłędnych, krwawych lat na jej ziemi.

Z „wielkości“ rewolucji francuskiej pozostały przesiąkłe krwią strzępy. Dziś z tych strzępów wiją sztuczne wieńce przeważnie ci, co się lubują w rewolucjach „na odległość“ — jak powiada J. Bainville — „przy kominku“, albo ci, którym zawsze pilno do wcielania w życie „nieśmiertelnych“ zasad, upoważniających do wszelkiego redzaju eksterminacyj i wywłaszczeń*).

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

*) Chcieliśmy tu tylko zwrócić uwagę czytelników polskich na znakomitą pracę historyka francuskiego, nie wyczerpując wcale bogatej jej treści.

Przy sposobności dodajmy, że gdyby wydawcy nasi mieli trochę więcej zmysłu wydawniczego, a choćby zrozumienia własnego interesu, to odrazu zajęliby się jej wydaniem w polskim przekładzie. O tem wszakże nic nie słychać...

SHELLEY... PASZKWILISTA

Poetce Iłłakowiczównie poświęcam

W SIÓDMEM niebie poezji światowej, w najwyższym archanielskim chórze angielskich liryków, w grugie Serafitów obok Keatsa, Moore'a, Blake'a, R. Browninga rysuje się zwiewna w konturach i rozpływająca w tle postać, która była poezją samą w sobie, inkarnacją, synonimem poetyczności, samoczynnym niejako instrumentem natchnienia, harfą na której najprzedziwniejsze melodje przegrywały jak w grocie Fingalla wichury Boże. Poeci o nim mówią i piszą z najgłębszem wzruszeniem jako o zjawisku twórczem ponadziemskiem. Niechętnie wymieniają w zestawieniu inne wielkie nazwiska, gdy pada słowo: Shelley; chcieliby go mieć sanktuarycznie oddzielonego jakby w jakiemś miejscu: „święte świętych“ z zabronionem dla „bliźnich“ wejściem. Do niego *introitus* ma być zawarowany zazdrośnie tylko dla wtajemniczonych i zaprzysiężonych; szerszego czy węższego ogółu ten testament poetycki nie ma obchodzić wcale, nie powinien obchodzić. To jest poezja dla poetów, *melodia prohibita*. Tam, gdzie się kończy zainteresowanie i apercepcja nawet elity intellektualnie najwyrafinowańszej, tam dopiero zaczyna się twórczość Shelleya. Nawet Keatsowi godziło się jeszcze schodzić na niziny i rozdawać chleb poezji pomiędzy rzesze. Manna Shelleya przeznaczona jest tylko dla gminy akolitów wezwanych i wybranych.

Szczęśliwym zbiegiem polskich przypadkowości, trafów i okoliczności, klejnoty tej liryki czystej, liryki absolutnej, tej muzyki w słowach, oprawne też zostały i to co najpiękniejsze, w złoto szczere, dwunastokaratowe polskiej mowy; dokonała tego grupa jubilerów i majstrów jeszcze z „Chimery“, z tej łabędziej pieśni intelektualnie pańskiej Polski przed jej zapadnięciem się w trzęsawisko „*griaduszczego*“, definitywnego już chamstwa. Posiedziciele tej literackiej Golcondy mogą sobie kolejno symfonje Shelleya przypomnieć.

Muzyka to czysto kameralna, kwartetowa i kwintetowa. Najwyższa sfera twórcza, odkażona już nietylko od wszelkiego realizmu, obserwacji, zainteresowań codziennością, społecznictwem, obywatelstwem świata czy planety... *„Tief unter ihm im wesenlosen Scheine, lieg was uns alle bindet... das Gemeine“*... Nie, o tem nawet mowy niema, bo być nie może... To są już regiony o najczystszem ozonowem powietrzu wyżyn, do których nie dochodzi od niższych kręgów ani jeden wiew z dymów pospolitej ziemian egzystencji... *Omne humanum a me alienum puto.* Tu są już najswobodniejsze, najwyższe, najdalsze loty niczem nie obciążonej imaginacji, szybującej szlakami uskrzydlonej, kapryśnej, wolnej, suwerennie wolnej myśli, czasem opuszczającej się nad szczyty ludzkich rozmarzań i dociekań filozoficznych, czasem niknącej w obłokach, alegorycznie skorupę ziemską odbijających, czasem nieuchwytnie ginącej za dalekiemi, nierozstrzeganemi, ni rozumem ni wzrokiem niedosięgalnemi horyzontami. Nie widać już globu, jego mieszkańców i ich cierpień, wierzeń, tragedyj czy modłów, a jest już tylko całe wielkie *universum*. Dźwięki olbrzymich „bazaltowych“ organów i muzyka sfer na niezliczonej mnogości najstarszych skrzypcach. Każdy utwór (jeżeli improwizacje kosmicznego wizjonera godzi się tak bluźnierczo tytułować) to jakby *„missa solemnis“* twórczości, czy to będzie szczyt szczytów: „Epipsichidion“ czy „Alastor Duch Samotności“ czy „Wizja Morza“, czy „Oda do Wiatru Zachodniego“ czy „Adonais“, egzekwie za zmarłego wajdelotę Keatsa. Z niczem to niezwiązane, ni z czasem ni z przestrzenią. Srebrzące się w poświacie księżycowej kaskady obrazów, abstrakcyj, barw, tonów, alegoryj, reminescencyj, metafor, nie związanych ze sobą pozornie, aracjonalnych, antylogicznych, działających tylko natężeniem światła i koloru, ale każdy poemat, każdy hymn, każda strofa, każdy wiersz przepojony panteistyczną, otchłanną miłością świata, żałością istnienia, wdzięcznością za cud człowieczeństwa.

To też poeci i artyści najwyższej klasy i rangi duchowej pielgrzymują do Shelleya jak na Monsalwat, odrywając stopy z trudem od gliny, strzepując kurz ziemski z obuwia i spinając się w górę po spiralach myślowych, aby tylko dojść do tej marmurowo-kolumnowej świątnicy o strzelistych wieżycach, gdzie odbywa się najwyższe misterjum, gdzie przemawia poeta dosłownie ponad obłokami tylko do Boga, do siebie i do wszechświata.

I oto jest rzecz dziwna, ale zrozumiała, że krótki bo trzydziestoletni („ulubieńcy bogów umierają wcześnie“) żywot tego Serafity nie był, bo nie mógł być pogodną sielanką i przechadzką po różach i po murawie. Kamienistą była ścieżka, którą przeszedł, raniąc nogi raz po raz do krwi pielgrzym z kijem wygnańca. Od samego zarania życia często mu podawano na dzidach gąbki przepojone żółcią, ale bo też od samego zarania kołatał się w wątłej piersi zbyt przeolbrzymi „duch wieczny rewolucjonista“. Ciężko już było pacholęciu z ojcem nieco tyrańskim, obrońcą *cantu*, *correctnesship fashion* i *high church*; wedle biografów W. Sharpa i Todhuntera wiele z jego rysów odnaleźć można w starym Cencim z Eschylosowskiego dramatu o tej rodzinie wsławionej incestem. Młode pacholę szlacheckie relegują z Oxfordu za dziecinny pamflet *„The Necessity of Atheism“*. Zostaje mu z Oxfordu tylko kultura i więź humanistyczna i wczesne a dośmiertne ukochanie Hellady, najpierw tej starożytnej ziemi bogów, tragików i Arystofanesa, a potem tej drugiej, dobijającej się właśnie za jego czasów o niezależność. Żeni się zbyt wcześnie i szybko rozwodzi, niestworzony do pożycia światowego z panną z *society*, tembardziej że schedy po ojcu zrzeka się na rzecz siostry i zamieszkując na poddaszu traci czas na pisanie... arcydzieła fantastyki: *„Queen Mab“*. Rozpoczyna się nań pierwsza naganka snobów i mobu. Odbierają mu dzieci, a pierwsza żona kończy samobójstwem. Naganka towarzystwa londyńskiego wzrasta, a prowadzi ją dworski poeta *laureatus* denuncjant Southey. Serafita żeni się po raz drugi z Mary Godwin, córką rozwichrzonego radykała, ekonomisty, starego Willa, trochę powieściopisarza a nieco warjata. Naganka przybiera dzikie rozmiary, tembardziej, że Shelley nie kryje się z radykalizmem i republikanizmem. Wreszcie zaszczuty przez całą sforę pieśniarz *„The Revolt of Islam“*, „Prometeusza Rozpętanego“, „Indyjskiej Serenady“ „Aretuzy“, „Pieśni Proserpiny“, „Hymnu Apolla“ ustępuje miejsca skrybom i dworakom, eunuchom ze „Szkoły Jezior“ i pochlebcom Hannowerskiej dynastji i przenosi się do drugiej ojczyzny wszystkich wolnych Anglików, do Italji (r. 1819). I tu bierze go pod czarne skrzydła swej romantycznej peleryny zbuntowany demon lord Gordon Byron...

Jest w tej opiekuńczej przyjaźni Byrona dla Shelleya coś z uczuć matki do syna, Mentora do Telemaka i furjującego, wściekłego, miotającego piorunami i żygającego płomienną lawą... Kaina (z poematu), Kaina — Lucyfera... do kobiecego, elfowatego delikatnego, przebaczającego, wyzbytego ze wszystkich agresywnych, wojowniczych, mściwych affektów i impulsów marzyciela... Anhellego... Niecałe trzy lata trwa ta przyjaźń dwóch Dióscurów angielskich, dwóch wielkich opozycyjnych duchów na dobrowolnej banicji. Shelley upaja się urokami Italji, a raczej cudami kosmosu w urokach Italji skoncentrowanego i pisze, i pisze i czasem to czyta w gronie wytwornych sympozjonistów, a czasem nawet drukuje. Pewnego pięknego dnia czerwcowego (1822) wyjeżdża z Livorna na spacer do Lerici po zatoce Spezia... „Płyń barko moja, pogoda sprzyja“... Ale burza nadchodzi... żaglówka nie zdolna do oporu... poeta tonie w kobaltowej toni. Ośmnastego czerwca, wyławiają rybacy ciało. Wedle praw toskańskich wszystko, co wyłowione, po 14 dniach miało podlegać spaleniu. Smutnemu obrzędowi towarzyszą Byron, Hunt i Trelawney. Opisał to w pięknym poemacie poeta niemiecki Alfred Meissner, za nim powtórzył nasz Antoni Lange. Serce w aloesie spowite pogrzebano na protestanckim cmentarzu w Rzymie obok monumentu Keatsa. Po śmierci zapłakało niewielu. Londyn nawet nie wiedział o tem. W Londynie zresztą go przeklinano i dzieci i *shopkeeper*'ów i lichwiarzy nim straszono... Dopiero po latach, po latach przypomniano go sobie. I zaczęto czytać i rozczytywać się i pisać o nim grube tomy i zakładać „Assocjacje“ ku szerzeniu kultu dla Shelleya. I wtedy to poetę „Epipsichidiona“ i „Prometeusza“ nazwano: Arielem... jasnym duchem, kochającym wszystko i wszystkich? Nie! Nie wszystkich!

Percy Bysshe Shelley, poeta o duszy promienistej i jasnej jak dzień słoneczny, chłopięco dobry i łagodny charakter na codzień, wszystko wszystkim przebaczający, szybko uraz nie pamiętliwy, kalumnij nie mszczący, gehennę życia krótkiego znoszący cierpliwie, miał jednak jedną nienawiść płomienną, pochłaniającą, zażerającą, absorbującą, wieczystą, czujną i aktywną. By tę nienawiść podsycić i nasycić schodził w niziny pospolitych zainteresowań przeciętnego *man of street* i gromadził w pamięci i świadomości materjał oskarżycielski. Apostoł „Piękna intelektualnego“ zajmował się namiętnie człowiekiem, który był dlań uosobieniem piekielnej moralnej brzydoty. Anhelli,

którego mózg wchłaniał tylko promienność światła, zagłębiał się w czeluście posępnej duszy syna złych bezsennych nocy. Gardzący pożywieniem mięsnem i karmiący się tylko jarzynami i owocami angielski baronet obmyślał i knuł latami zemstę nad człowiekiem, który był tylko kawałem mięsa i znał z życia tylko chuci mięsne, zwierzęce.

Tym człowiekiem był ten, który rządził ojczyzną Shelley'a, był król Jerzy IV...

Jest w *National Gallery* w Londynie portret tego regenta, za którego rządów Wielka Brytanja pokonała swego największego wroga... Napoleona, regenta, którego armja dzięki kilku genjalnym wodzom obaliła kolos rodyjski, ale o którym właśnie jego wódz największy: Wellington puścił straszliwe: „Biada narodowi, którym rządzi król nie *gentleman*"! Na tym portrecie dworskim przedstawiony jest „herszt bandy Hannowerczyków" w pełnym majestacie, obwieszony orderami, uśmiechnięty umyślnie, by ukryć posępność duszy drapieżnego nocnego ptaka. Niechętnie stają dzisiejsi obywatele największego pod słońcem Imperjum przed wizerunkiem tego monarchy, którego tak złowrogą charakterystykę dawali Macoulay, Thackeray i inni, a którego za jego życia takiemi górami pochlebstw obsypywano. Cóż bowiem z tego, że armje J. K. Mości dobiły nawet... Napoleona, jeżeli J. K. Mość nie był nawet... *gentleman*'em.

I jest w tej samej *National-Gallery* olbrzymi obraz historyczny z gatunku oficjalnych panoram. Przedstawia scenę melodramatyczną, kiedy to żona Jerzego IV, Królowa Charlotta Brunświcka, oskarżona przez własnego męża o wiarołomstwo staje przed Izbą Gmin, by się bronić. Zielony wór leży na stole przed *Speaker*'em Parlamentu. Oskarżają kanalje z bandy Hannowerczyków, w obronie staje lord Brougham, ten sam szlachetny Torys, który w obronie Polski Kościuszkowskiej, Polski tego Naczelnika z którego zawsze będzie dumną, powiedział swoje słynne: „Wszyscy w Anglji płaczą teraz nad niedolą murzynów, a nikt nie uroni łzy w obronie... Polski".

I oto o co i odkąd znienadził Ariel regenta z duszą Calibana, mściwego, ziониącego wulgarnościami, plugawego Calibana. I oto z jakiego powodu ten poeta, który, najwyżej ceniąc swe dostojeństwo wieszcze, nigdy nie był autorem ani literatem, a „harfę druida chował tylko na ołtarzu", zdecydował się ze swego pałacu z kości słoniowej zejść po kilkuset schodach aż na brudny bruk Londynu i wymierzyć przeciw Hannowerczykom, królowi Jerzemu, jego ministrom, Londynowi i bezwstydnej Anglji, która takiego regenta znosiła... poprostu paszkwil, wysoce ordynarny, dostosowany do poziomu czytelników, potworny, obłędny paszkwil. A nosi ten paszkwil tytuł: *„Sweelfoot the Tyran"* i *„The Masque of Anarchy"*. A na polski język przełożył to ku zdumieniu krytyków, a widocznie jasnowidzący wszystko, co przyszłość przyniesie, ku przestrodze i pouczeniu... Anglików nie kto inny tylko... Jan Kasprowicz.

A była z tem sprawa taka. Kiedy Francję opanował *demovores* zjadacz ludów, wielki i wspaniały potwór z Ajaccio, na stolcach cesarskich i królewskich siedzieli truchlejący, zdenerwowani „Dynaści", jeden gorszy od drugiego, jak to można się przekonać z Tomasza Hardy'ego dramatu, liczącego 19 aktów a 130 scen *„The Dynasts"*. Najgorzej jednak było w Anglji. Tu po usunięciu Stuartów przyszła familja Hannowerska, jeszcze gorsza, którą stara szlachta normandzka w duszy traktowała jako uzurpatorów, przybłędów ze Wschodu. W dodatku jeden z nich Jerzy III wpadł w obłęd. Wielka Brytanja warjatów i furjatów na czele państwa nie znosi, wobec tego zamianowano regenturę, a wedle praw angielskich regentem musiał zostać książe Walji, tym razem Jerzy IV. Ironja dziejów chciała, że za panowania tych hannowerskich degeneratów-dynastów, wodzom i armjom angielskim udało się powalić Tytana i zamknąć go na wyspie Św. Heleny. Sława wodzów uratowała dynastję, bo promienie jej spadły na pomazany łeb Jerzego III, a potem Jerzego IV.

Pomimo tego, gdy ogłoszono regenturę (r. 1817) a Jerzy jechał koronacyjnie ugalowany do Parlamentu, aby zaprzysiąc i zagaić obrady, patrjoci londyńscy obrzucili karetę królewską błotem i kamieniami! Karetę regenta, którego armje pokonały Napoleona *„Boneya"*! Okazuje się, że w stolicy W. Brytanji praktykowano takie owacje i to dla... pomazańca, a kanalja Hannowerska nie ośmieliła się jednak ukuć z tego na wieczne czasy oręża partyjnego przeciw patrjotom. I za co tak obłocono i uraczono otwartą karetę regenta, który dwa lata temu po pogromie *„Boneyego"* przyjmował jako gospodarz wszystkich panujących w Europie? Oto na razie za jedno, tj. za to, że Jerzy IV był *„Punchem"*... to znaczy za to, że źle żył z żoną, tak się znęcał nad nią i tak ją maltretował, że Karolina Brunświcka wreszcie uciekła odeń na kontynent, uciekła z małym orszakiem i... szambelanem Bergaminim. Regent rozpoczął wtedy swe rządy. Były to czasy złote „Świętego Przymierza", najohydniejszej, najciemniejszej, rozwścieklonej reakcji. Byron mówił o swej ojczyźnie: „Anglja stała się dozorcą więzienia i pachołem absolutyzmu". Tomasz Hardy w swoich „Dynastach": „Trzej łupieżcy Polski nabili kiesy żołdem Johna Bulla". A dla Shelleya taka Anglja to nie była *„old merry England"* a tylko *„perfide Albiron"* i poprostu chlew, wielki, olbrzymi chlew. Nad tym chlewem panował „Tyran Opuchłołydziec", syn degenerata, sam degenerat z przybłędów hannowerskich, a rządzili najohydniejsi i najgorsi. Po wielkich Pittach przyszedł gnom konserwatywny Perceval. Tego premjera pewnego dnia zastrzelono z kół patrjotów. Ale kanalja dworska Hannowerczyków, jak mówi Tomasz Hardy w „Dynastach" „banda 140 pretorjanów", jednak nie ważyła się z tego nawet zamordowania ukuć sobie broni zatrutej na patrjotów. Potem przyszedł Castlereagh... wielki „genjusz gospodarczy", prawa ręka Jerzego IV, „lord Londonderry", który atoli, gdy się później swoją prawą ręką sam samobójczo zarżnął, Wielka Brytanja odetchnęła z ulgą, a Byron grzmotnął ze swego italskiego Olimpu trzy djabolicznej złośliwości epigramaty, chwaląc Castlereagha „za pierwszy szlachetny czyn"...

Już od r. 1820 Jerzy IV zasiadł normalnie na tronie, po śmierci papy. U rządu stali konserwatyści, odpadki Torysów i znikczemnieli zaprzańcy, Judasze Whigów. Torysi gardzili skandalizującym się i ordynarnym dynastą z przybłędnej familji, ale w myśl maksymy wszystkich junkrów wszystkich narodów: *„mag der König absolut wenn er unseren willen thut"* wysługiwali się tronowi. Cenzura szalała w Anglji gorzej, niż w Caracie. *Bill*'e „kneblujące" szły jedne po drugich. Stan urzędniczy w nędzy. Lud włościański w brudzie. Wielcy agrarjusze tylko rozpromienieni i szczęśliwi. A koło dworu hałastra rymopisów, zapraszana do *Carlton-House*, pochlebiająca „Tyranowi Opuuchłołydźcowi", jako pogromcy Francji i Napoleona.

I na takie to czasy i do takiego to Londynu wracała Królowa Karolina do swego małżonka na koronację. Wracała zawezwana i zaproszona przez ludność. A król, który jej lata całe nie pozwolił wracać do Londynu, który ją publicznie nazywał „przystoj-

nem cielęciem", który ongiś dostał za nią i przepuścił olbrzymi posag... a później szpiegował ją po Europie przez swych adjutantów, teraz znalazł się w sytuacji fatalnej.

Tomasz Hardy w „Dynastach" wkłada „Opuchłołydźcowi" królowi takie słowa w usta w tym momencie: „Niech djabli biorą cały pokój! „*And dam the war! and dam Boney* (Napoleona tak nazywano w Anglji: Bonaparte + *pony*) *and dam Wellington victories! The question is how I am to get over this infernal woman...*" Jak ja się pozbędę tej piekielnej baby!!... I wtedy to zdecydował się na skandaliczny proces, przedkładając Parlamentowi propozycję *bill*'u o rozwodzie. Tymczasem wracającej do Londynu Karolinie ludność na ulicach urządziła wspaniałe owacje. Izba Lordów *bill* przyjęła i uchwaliła cynicznie. Izba Gmin odrzuciła. Podczas koronacji Tyrana, królowę trzymano zamkniętą w opactwie. Ze zgryzoty i wstydu w kilka dni umarła.

Tyran Opuchłołydziec na pogrzeb się nie pofatygował.

A opinja publiczna.—angielska!—opinja publiczna przeszła nad tem chamstwem nie *gentleman*'a do porządku dziennego.

I to rozwściekliło Serafitę do szału. Metafizyka i panteistę zapatrzonego lunatycznie w wielkie misterjum świata zaczęło fascynować, rozdrażniać i we wstrząsy moralne wprawiać to małe bydlę, koronowane bydlę z *Carlton-House*. Śpiewak Boży, beznamiętny i omal bezkrwisty, o którym Trelawney przyjaciel pisał, że: „kochał wszystkich prócz siebie", zgrzytał zębami, zaciskał pięście i ciskał się po pościeli bezsennie na samą myśl, że jego ojczyzną rządzi ten opuchłołydy paranoiczny karzeł, profitujący z genjuszu swych wodzów. Ten poeta, której wyśpiewał „Dytyramb do Skowronka", stracił oddech i dławił się, uświadamiając sobie, że jego ojczyzny „*patriae pater*" jest zuchwały, zły, przewrotny i parszywy knur. Ten angielski rasowy, dystyngowany szlachcic, rozmiłowany w Helladzie, twórca „Hellas" i Prometeusz, musiał bezbronny i słaby znosić, że w Londynie rezyduje Teuton, Niemiec, z duszy „Pers"... I wtedy stało się, że *indignatio fecit versum*. Już nie Eschylosa, ale Arystofanesa i jego „Żaby" wziął sobie za wzór P. B. Shelley. I w kilka dni grzmotnął komedję - satyrę Arystofanesowską na Anglję Jerzego IV, macochę ludzi uczciwych a mamkę łotrów, na Londyn, kordegardę „bandy 140 Hannowerczyków", na władcę, o którym inny Anglik, nam współczesny Tomasz Hardy napisał: „mały łotr pogardy godzien". To, że Wielka Brytanja zmogła znienawidzonego przezeń Bonapartego, nietylko Shelley'owi nie imponowało, ale właśnie przydało ostatecznej goryczy: amoralny strupieszalec dynasta zwyciężył amoralnego, parwenjuszowskiego awanturnika *conquistador*'a. I taką Anglję daje Shelley w swem paszkwilu jako... chlew. I kościoła anglikanskiego nie może szanować poeta, który w „Hellas" takie piękne strofy poświęca Chrystusowi, skoro *High-Church* toleruje i uznaje pomazańca w takim wieprzu. Służalcom poetyckim dostaje się osobno potężny cios: „*Peter Bell*". Ale dwór, kamarylla klika, kloaka i klaka Jerzy IV to wszystko chlew pełen warchlaków, prosiaków i wieprzów; Londyn to Teby... Castleregh to „Mammon"... duchowym kapłanem tego chlewa... „Mojżesz (!) rzezak... a męczennica" królowa to żona Taurina. To, co jest na obrazie w *National Gallery*... proces o rozwód przed Izbą Gmin... to sparodjowane do ostateczności, skłębione w szczegółach, obłędnie wyolbrzymione, potwornie przekrzywione, opuchłe, przekoloryzowane dzieje się w... „Tyranie Opuchłołydźcu". Niemożliwym w swej rubaszności i wulgarności jest ten paszkwil angielkiego Novalisa, angielskiego Norwida, Chopina liryki angielskiej. Kiedy wyszedł z druku, wycofywano go raptownie, wykupywano masami, palono nim w kominkach, niszczono. Takiej erupcji obłędnej, satyrycznej furji mało jest w literaturze. Zagadką psychologiczną pozostanie na wieki, jak doszło do tego, że arystokrata ducha, wytworny *Mignon* z duszą mimozy, kwiat agawy, co wyrasta raz na sto lat w zachodnich cieplarniach, mógł takim, dodajmy jeszcze całkiem nieudałym, właśnie „literackim" „utworem" do skrzyni swoich bezcennych klejnotów i kosztowności wrzucić i grudę ziemskiego zwykłego błota... Ariel?...

Aby sobie zagadkę wytłumaczyć conieco, przypomnijmy sobie, że w „Burzy" Szekspirowskiej nawet Prospero traci czasem opanowanie i cierpliwość. I wtedy wali w kark silnego, mocarnego, zionącego plugawemi słowy Calibana.

Ale czy nie szkoda było na to pióra, pióra wyrwanego kolibrom Arielu? Caliban jest wieczny. Caliban się przewciela. Calibana słowem nie przezwycięży...

ADOLF NOWACZYŃSKI

ULEWA WIOSENNA

Rozhuczało się moje podwórze rozgłośnie.
Łoskot kropel bijących o szyby i rynny
Zaśpiewał mi u okna balladę o wiośnie,
Roztętnił w rytm junaczy, radosny, dziecinny.

Miljon kropel na bruku miljon iskier krzesze!
Z suteryn niosą kwiaty — skaczą dzieci stróża:
Maleńki świat brudnego, smutnego podwórza
Zapamiętał się nagle w beztroskiej uciesze.

Jeszcze, jeszcze, o jeszcze!—wpatrzyłem się w okno
Słuchając, jak zuchwale i radośnie śpiewa
W studni wysokich murów wiosenna ulewa
I śmieją się wyblakłe kwiaty, które mokną...

ANTONI GRODECKI

LIBERUM VETO

Wesoły teatr. — Farsa „Lelum-Polelum". — Główny jej aktor. — Nierówna walka. — Dlaczego złoto wyborcze w Ameryce nikogo nie przeraża. — Mieszkanie Kościuszki.

NA tegoroczne lato nie można się skarżyć: było dość pogodne i bardzo wesołe. Uciechy dostarczyli nam mężowie polityczni, którzy z pewnością przy spotkaniu, jak augurowie, uśmiechają się do siebie, a w każdym razie widzów swej gry rzetelnie bawią. Przedewszystkiem Liga Narodów. Być może, że z niej kiedyś wyrośnie najwyższy sąd ludzkości — w co osobiście wierzę — tymczasem jest to teatr, w którym trupa komedjantów dyplomatycznych daje przedstawienia, rozweselające cały świat czytelników gazet. Aktorami i reżyserami tych widowisk są ministrowie angielscy i francuscy, a powoli wciskają się między nich niemieccy. Niewątpliwie są to artyści znakomici. Niektórzy nawet przypominają genjalnego Żółkowskiego, który umiał poważną miną doprowadzać widownię do spazmatycznego śmiechu. Mistrzostwo aktorów tego teatru polega głównie na tem, że oni zasiadają uroczyście na sąd w każdej sprawie międzynarodowej, wyznaczają komisje, badają świadków, słuchają obrońców, w potrzebach obradują przy drzwiach zamkniętych i wydają bez egzekucji wyrok, w którym obu stronom przyznają rację. Naturalnie strony „gwiżdżą" a publiczność wybucha śmiechem.

Najwyżej w humorze wzniosła się i największy rozgłos pozyskała farsa osnuta na stosunkach polsko-litewskich pod tytułem „Lelum — Polelum", w której główną rolę gra Woldemaras. Ten dyktator państewka, rozpiętego wszerz i wzdłuż na dwóch stacjach kolei, rozporządzający siłą zbrojną zdolną rozgromić stado owiec, napiętnowany wielokrotnie kłamca i krętacz, trzyma od dwóch lat w naprężeniu uwagę Europy, której grozi wojną. Ogłoszony urzędownie w Polsce za złośliwego i szkodliwego „warjata", jest obecnie „ekscelencją", który odbiera od niej uprzejme noty i wodzi ją za nos w niekończących się układach. (Tu przy sposobności zauważę w nawiasie, że czas już, ażeby nasi pisarze i mówcy wreszcie zaprzestali mężczyzn noszących tytuły z zakończeniem żeńskiem przerabiać na kobiety. Ekscelencja, Królewska Mość i t.p. nie „raczyła", lub „przyjechała", ale raczył i przyjechał, podobnie jak: wojewoda i starosta. Kto chce zachować ten niedorzeczny zwyczaj gramatyczny, powinien logicznie pisać i mówić: Białosuknia, Grzymała, Trzaska i t. d. raczyła lub przyjechała). Otóż niedawny „warjat" a obecny „ekscelencja" Woldemaras oświadczył w wywiadzie gazeciarskim, że „przeciągnie układy jeszcze dwa lata a potem zobaczymy". Głęboko ukryte są powody naszej dyplomacji, które ją skłaniają do nadludzkiej powolności i cierpliwości w prowadzeniu układów, przerywanych i targanych przez łgarstwa, wykręty i oszczerstwa dyktatora litewskiego, opinja polska jednakże jest przekonana, że ta błazeńska farsa przeciąga się za długo, że przestała śmieszyć i zaczyna oburzać, że ona nie obiecuje żadnego powodzenia, a gdyby nawet zapewniła Polsce jakieś korzyści handlowe, będą one zbyt nikłe, ażeby mogły zrównoważyć kompromitację poważnego, dbałego o swoją godność państwa. Że w polityce śmiałość, stanowczość imprez mają wielkie znaczenie, dowodem ten sam Woldemaras, figura pośledniego gatunku, władca państewka lilipuciego, który jednak temi tylko właściwościami utrzymuje się na pierwszym planie pola dyplomacji, drwi z najpotężniejszych mocarzów europejskich i ich wypolerowanych wyroków. Pan minister Zaleski, jeżeli nie ulega jakiemuś przymusowi, posiada wobec takiego przeciwnika za mało energji i surowości. Kłania się, uspakaja, częstuje słodyczami, namawia do przyjaźni a tamten urąga i wali maczugą nabitą gwoździami. To nie pojedynek na broń równą, to nawet nie walka dwóch atletów lub bokserów, ale miotanie kamieni i zatrutych strzał z jednej strony a zasłanianie się wywatowaną tarczą z drugiej. W akcie unji Horodelskiej napisano: „Nie doznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość. Miłość tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi". Brzmi to pięknie i może kiedyś brzmiało prawdziwie, kiedy nasi przodkowie nosili kontusze republikańskie bez monarszej podszewki, ale dziś gdy nas nauczono, że orzeł polski ma na to pazury, ażeby niemi rozdzierać własny naród, wolno nam żądać, ażeby ich użyto do walki z wrogami.

Są rozumowania łatwe i trudne, są wnioskowania proste i złożone, nie dziwno, że ludzie posługują się tem, co wymaga najmniejszego wysiłku myśli. Popularna logika ma zwyczaj bronić złego czynu argumentem, że bywają gorsze. Jeżeli będziemy ubolewali nad tem, że jakiś urzędnik ukradł tysiąc złotych, to nam ona odpowie, że gdzieś zagranicą ukradł miljon. Z kroniki przygotowań do wyboru prezydenta w Stanach Zjednoczonych niektóre pisma przytaczają fakty, świadczące o wielkiem skażeniu moralnem tej operacji. Stronnictwa zbierają tam jawnie olbrzymie sumy na przekupowanie wyborców, dopuszczają się oszustw, gwałtów i wszelkich nadużyć, obiecując poplecznikom posady i korzystne przedsiębiorstwa. „Rugi", przeprowadzane przez każdego z naszych nowych ministrów, są drobnemi przesunięciami w porównaniu ze zmianą urzędników po zwycięstwie jakiejś partji w wyborze prezydenta amerykańskiego. Wszystko to jest prawdą, ale również prawdą jest to, że którekolwiek stronnictwo dojdzie do władzy, pomimo wyrzucania wszystkich ważniejszych urzędników i zastąpienia ich nowymi, maszyna państwowa działa prawidłowo, sprawnie i energicznie. Chociaż ministrowie, dyrektorzy, naczelnicy, radcy, kasjerzy, sędziowie republikańscy wejdą na miejsca demokratycznych lub odwrotnie, wszystkie sprawy będą załatwiane umiejętnie, szybko i punktualnie, nie będą partolone, krępowane formalistyką, przetrzymywane w biurach całemi miesiącami i latami, zatracane w archiwach, tamowane obawą odpowiedzialności i strachem przed zwierzchnictwem. Wszystko będzie odrabiane jak poprzednio, tylko innemi rękami i głowami. Dlatego społeczeństwo amerykańskie patrzy pobłażliwie na gwałty wyborcze, nie gorszy się ich nadużyciami i nie przeraża się ich wynikiem. Bo jest przekonane, że w każdym wypadku maszyna administracyjna będzie działała nieźle. Gdyby przypuszczało, że partja zwycięska zniesie praworządność, rozgrabi i zmarnotrawi fundusze publiczne, powstrzyma szybki bieg spraw w urzędach, zapewni bezkarność zbrodniarzom i zawiesi wykonywanie wyroków sądowych—wtedy może ustosunkowałoby się do niej inaczej i wkrótce zgładziłoby ją swym gniewem. Mając rękojmię, że zarówno republikanie, jak demokraci, w odmiennych swoich dążeniach lepsi i gorsi, nie narażą państwa na rozstrój wewnętrzny i niebezpieczeństwo zewnętrzne, mówi sobie: niech się biją, zabijają, przekupują, oszukują, aby po skończonej wojnie wyborczej wzięli się do pracy i wykonywali ją sprawnie. Ale taka opinja ogółu jest możliwa tylko tam, gdzie jego większość składa się z jednostek jako tako politycznie wykształconych.

Ktoś w korespondencji ze Szwajcarji opowiedział w gazecie, co się stało w Solurze z domem, gdzie mieszkał i umarł Kościuszko. Przeszedł przez kilka rąk, a obecnie pokoje, które zajmował najszlachetniejszy i najkochańszy Polak, służą za magazyn. Korespondent ubolewa a sami Szwajcarzy dziwią się, że Polacy tak zaniedbali pamiątkę po swoim bohaterze uczczonym na obu półkulach ziemi. Byłoby to niezrozumiałem i niemożliwem u innych narodów, utrzymujących stały kult dla swoich wielkich ludzi, ale jest zwykłem u nas. W naszym kalendarzu patrjotycznym corocznie zaznaczane są święta rozmaitych obchodów, rocznic, sprowadzania zwłok, ale to są uroczystości dorywcze, mające na celu urozmaicenie jednostajności życia. Ponieważ jesteśmy społeczeństwem, hołdującem entuzjastycznie „modzie" i „aktualności", dwum bardzo głupim muzom, przeto zdarza się nieraz, że wobec naszych wielkich umysłów i charakterów zachowujemy się tak, jak wobec wycofanych z mody surdutów i sukien. Zapominamy o nich, tylko po pewnym czasie wydobywamy ich z grobu i przenosimy do Panteonu. Korzon opowiada że przy śmierci Kościuszki nie było ani jednego Polaka i że go odchodzącego ze świata pożegnali cudzoziemcy, którym on też powierzył wykonanie swej ostatniej woli i polecił spalić całą korespondencję. Dlaczego kazał ją zniszczyć? Może w domyślnej odpowiedzi znaleźlibyśmy powód bardzo smutny.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

WIĄZANKA UKRAIŃSKA

W MAJU 1926, kiedy nam tu głowę zawracano „sanacją", prasę niemiecką zajmowały dalsze konsekwencje. „*Vossische Zeit*". z 15 maja pisał: „najważniejszy jednak etap dopiero nastąpi" i przepowiadał zawikłania przy wykonywaniu programu federacyjnego w Polsce. Wtajemniczona „Epoka" (nazywała się wtedy „Nowym Kurjerem Polskim") zapowiadała:

„Rząd ten będzie czerpać swą siłę na wewnątrz i zapewniać potęgę Polsce na zewnątrz z niewyczerpanej krynicy moralności w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych"...

Parę lat zeszło na droczeniu się z Sejmem, zajmowaniu posad i formowaniu Jedynki, zawsze ze szczególnem uwzględnieniem stosunków wschodnich. Teraz dopiero zaczyna się zarysowywać akcja na tle „Ukrainy". Sprawa litewska znalazła się w zawieszeniu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności patrjoci polscy jednego dnia, mianowicie 12 września, czytali w dziennikach takie doniesienia:

„Ukrainiec, budujący współżycie polsko-ukraińskie na terenie Wołynia, nie jest w niezgodzie z myślą o Ukrainie niepodległej na sąsiadujących z nami obszarach. Stwarza najpomyślniejsze warunki dla budowy przyszłej Ukrainy. Zrozumiał to dobrze ś. p. Ataman Petlura, który na długo pozostanie świecznikiem idei niepodległościowej ukraińskiej. Zrozumiał to dobrze, iż istnieje olbrzymia różnica stosunku: Moskwa — Kijów, a Kijów — Warszawa. Pierwszy z tych stosunków polega na negacji, na zaprzeczeniu prawa do bytu. Stosunek zaś Warszawa — Kijów będzie polegał jedynie na kulturalnej rywalizacji, na usiłowaniach ekspansji gospodarczej i umysłowej".

„Zabarwiając tą prawdą każde poczynanie nasze, musimy zwalczać wszystko, co stoi na drodze ku ziszczeniu naszej koncepcji. Musimy paraliżować wszystkich, którzy ziszczeniu naszej koncepcji zechcą się przeciwstawić; w jaki sposób będziemy to czynili, to już kwestja metod postępowania. Metody mogą być zmienne, mniej lub więcej łagodne, w zależności od nakazów chwili. Najważniejszem jest niezatracenie linji zasadniczej, która obowiązuje na terenie Wołynia wszystkich obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, będących jednocześnie wyznawcami praw narodu ukraińskiego do samodzielnego a ościennego z nami bytu i dobrego sąsiedztwa. Gleba Wołynia jest zdaniem mojem gotowa do tego posiewu". („Ziemia Lubel.", nr. 242)

Tak mówił oficjalnie nowomianowany wojewoda wołyński na zjeździe posłów i senatorów z Wołynia.

Tegoż dnia w „Kurjerze Warsz." czytamy telegram (A.T.E.) z Pragi:

„Organ legjonistów czeskich „*Narodni Osvoboženi*" donosi o wykryciu niesłychanego skandalu politycznego. Według informacyj, ogłoszonych w tem piśmie, grupa faszystów czeskich, na których czele stoi osławiony były generał Gajda, podpisała w grudniu roku zeszłego umowę z grupą emigrantów ukraińskich, na których czele stoi niejaki Ostranica, zobowiązując się w razie objęcia władzy w Czechosłowacji do oddania do dyspozycji Ostranicy Rusi Podkarpackiej w celu utworzenia tam legjonów ukraińskich. Wytworzone w ten sposób wojsko ukraińskie miałoby wkroczyć do Małopolski wschodniej, wzniecić tam ruch zbrojny, a potem zwrócić się przeciwko Sowietom. Ostranica, do którego grupy przyłączyli się byli członkowie dyrektorjatu ukraińskiego, Makarenko i Szwec, przyrzekł faszystom czeskim wyjednać od hitlerowców subwencję w wysokości pół miljona marek niemieckich".

W „Słowie Polskiem" z dn. 11.IX czytamy:

„P. Dymitr Lewicki, prezes wschodnio-małopolskiej partji ukraińskiej tzw. „Unda", jest posłem na Sejm Rzeczypospolitej i w marcu b. r., złożył na ręce marsz. Daszyńskiego... ślubowanie.

P. poseł Dymitr Lewicki po znanem wystąpieniu na operetkowym zjeździe mniejszości w Genewie ogłosił w pismach żargonowych „*Morgen*" i „*Moment*" wywiad, w którym czytamy: „My ukraińcy nie jesteśmy lojalni wobec Państwa polskiego i nimi być nie chcemy". Na zapytanie zaś, czy takie stanowisko oznacza tendencję oderwania się od Polski, odpowiedział: „Całkiem jasno i pewnie. Może pan to całkiem spokojnie napisać. Stwierdzam to całkiem jawnie i w pełnej odpowiedzialności za moje słowa. My, ukraińcy, nie możemy być lojalni wobec Państwa polskiego dlatego, że dążymy do własnej państwowości". P. poseł Dymitr Lewicki zapowiedział nadto, że to samo powie w Sejmie i wobec całej polskiej opinji.

Czy oświadczenie powyższe jest zgodne z poselskiem ślubowaniem „rzetelnej pracy wyłącznie dla dobra Państwa polskiego, jako całości", o tem — zdaje się — trudno mieć różne zdanie, ponieważ zaś p. Lewicki pogląd swój wypowiedział poza Sejmem, przeto z dobrodziejstwa bezkarności, zapewnionej art. 21 Konstytucji korzystać nie może(?). Trzeba zaś dodać, że organy partji ukraińskiej b e z k a r n i e przedrukowały enuncjację p. Lewickiego zużytkowując ją świadomie i cynicznie dla propagandy antypaństwowej".

P. Józewski był członkiem rządu ukraińskiego atamana Petlury. Towarzysz jego z tych czasów, dawniejszy współpracownik „Dziennika Kijowskiego" (i kolega stąd p. Szumlakowskiego, odgrywającego w polityce wschodniej wielką rolę w Min. Spraw Zagr.) p. Joachim Wołoszynowski w korespondencji z Łucka do półurzędowej „Epoki" (13.IX) pisze o urządzonej tam wystawie:

„W dziale szkolnictwa. Obok tablicy, wykazującej skład narodowościowy ludności Wołynia, razi przykro każdego zwiedzającego wystawę wprost znikoma ilość szkół z językiem wykładowym ukraińskim. Są to oczywiście rezultaty rządów przedmajowych, które miały idjosynkrazję do Ukraińców, które na dźwięk wyrazów: „Ukrainiec", „ukraiński" dostawały gęsiej skórki, jak niektórzy po zjedzeniu poziomek. O h y d n e z j a w i s k o, zobrazowane na wykresach szkolnych, wykazujące, że w wolnej Polsce są dzieci, pozbawione w szkole swego macierzystego języka, musi conrędzej zniknąć.

Idjosynkrazja ta zresztą ujawnia się jeszcze tu i owdzie w drobnostkach. Tak np., w szeregu wykresów, w różnych działach, gdzie wypadło zobrazować stosunki narodowościowe, użyte są dwa terminy: „Ukraińcy" i „Rusini", zależnie widocznie od nastroju autora wykresu. Należałoby j u ż u s t a l i ć termin: „Ukraińcy", wykluczając z tej dziedziny dowolność i kaprysy. Do tej samej kategorji zjawisk należy też omijanie melodji ukraińskich" i t. d.

Nie trzeba przypominać, że na Wołyniu uczono się po polsku na żądanie ludności. Teraz to będzie wzbronione?

Tutaj trzeba poświęcić nawias inteligencji dzisiejszych kierowników „Słowa Polskiego“, któremu się tak śpieszyło do szeregów sanacji, że nawet się nie zapytało, co ona ma na celu. I teraz się dziwuje...

Powyższa wycinanka z prasy jednego dnia daje wiele do myślenia. Kiedyż to gdzie naród polski upoważnił do prowadzenia tej polityki?

Przysłowiowa już nikczemność krakowskiego „Czasu“ dosięgła zenitu, gdy w nr. 218 w artykule „Front wszechpolsko-rosyjski“ ośmiela się informować czytelników, że istnieje „braterstwo broni między obozem narodowym a Sowieckim“. Do tego doszła gazeta Szujskich, Popielów, Tarnowskich. Mianowicie z powodu mowy wojewody Józewskiego (którą podajemy za dziennikami wyżej) „Czas“ robi zarzut zdrady narodowej — komu? — obozowi „wszechpolskiemu“. Dlaczego? Bo na tę mowę „Gazeta Warszawska“ („Czas“ nawet nie umie nazwać „Gazety“, nazywając ją „Gazeta Por. Warsz.“) zwróciła uwagę, a stąd napewno dowiedziały się o tej mowie Sowiety. Tak wygląda, jakby „Czasowi“ nie było wiadomo, że Sowiety sąsiadują z Wołyniem. „Gazeta Warsz.“ przedrukowała tylko wyjątki z mowy wojewody, ogłoszonej w całości w nr. 35 „Przeglądu Wołyńskiego“ (z 26 sierpnia), a redaktorem „Przeglądu“ jest sekretarz wojewódzkiego BB, T. Zagórski, który prowadził protokuł u wojewody. Zaiste jest lepszy sposób zapobiegania faktom, niż chwytania za gardło prasy, aby milczała.

„WSZYSTKIE CAŁUJE“ *czyli* „STANDARDYZACJA SERC“

W „KLUBIE PICKWICKA“ opisuje Karol Dickens agitację przedwyborczą w miasteczku Eatanswill. P. Perker, ajent wyborczy stronnictwa „niebieskich“, udziela rad kandydatowi tegoż stronnictwa do Izby Gmin, p. Samuelowi Slumkey'owi, w jaki sposób pozyskać powinien sympatję zgromadzonych na dziedzińcu wyborców:

„ — ...Jest dwudziestu ludzi, należycie wymytych, którym pan uściśniesz rękę we drzwiach; jest sześcioro dzieci na rękach matek, które pan pogłaszczesz po głowie i o które spytasz się pan, ile mają lat. Zwłaszcza nie zaniedbuj pan dzieci, kochany panie. Tego rodzaju postępowanie zawsze dobry efekt sprawia.

— Pomyślę o tem, rzekł szanowny Samuel Slumkey.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nagle tłum wydaje okrzyk...

—Podaje rękę wyborcom! rzekł mały ajent.

Znowu okrzyk, nierównie głośniejszy.

— Pogłaskał dzieci po głowach! mówił dalej p. Perker, drżąc ze wzruszenia.

Grzmot oklasków rozdarł powietrze.

— Pocałował jedno! zawołał zachwycony mały człowieczek.

Drugi grzmot.

— Pocałował drugie!

Trzeci grzmot ogłuszający.

— Wszystkie całuje! wrzasnął roznamiętniony mały gentleman i w tej chwili pochód wyruszył, witany okrzykami tłumu“.

Scena powyżej opisana żywo stawała w pamięci, kiedy przewodniczeniem zakończonemu właśnie „Tygodniowi Dziecka“, mecenas Aleksander Lednicki usiłował odzyskać popularność w społeczeństwie, utraconą wskutek nazbyt niegdyś ożywionej korespondencji z hr. Lerchenfeldem. Pouczający to był widok, gdy ten dawny członek rosyjskiej partji „kadetów“ i jej przedstawiciel w Dumie Państwowej, pogodziwszy się już najwidoczniej, że nie wkroczy do Panteonu polskiego w bohaterskiej postawie rycerza niepodległości, postanowił przynajmniej wyryć się we wdzięcznej pamięci rodaków jako żywy symbol... macierzyństwa. „Zwłaszcza nie zaniedbuj pan dzieci, kochany panie. Tego rodzaju postępowanie zawsze dobry efekt sprawia“.

Zanim wogóle zdecydowano się na organizowanie wielkiej akcji propagandowej „Tygodnia Dziecka“, należało zdać sobie sprawę, że aczkolwiek bezbronne, posiada dziecko niesłychanie silnych sprzymierzeńców, ochraniających je i pracujących na jego radość i pożytek. W jego interesie działa najnaturalniejszy, przepotężny instynkt rodzicielski, w jego obronie przemawiają do sumień ludzkich nakazy religji, strzeże dziecka i jego praw przez tysiącletnią kulturę narodową wytworzony obyczaj. Naogół biorąc, matkom polskim nie potrzeba zupełnie jakiejkolwiek dodatkowej zachęty, aby kochały swe dzieci. Nie wydaje się zaś prawdopodobne, ażeby matka wyrodna, głucha na głos krwi, gardząca przykazaniami religji, lekceważąca opinję, miała nagle ugiąć się jak przed objawieniem, przed rozlepianą na rogach ulic odezwą „Do Matek!“, przed autorytetem moralnym orędzia p. Lednickiego i uchwał Międzynarodowego Zjazdu Opieki nad Dzieckiem w Genewie.

Niełatwo też zrozumieć sens wielkiego zużycia pieniędzy i trudu, licznych odezw, akademij, rozdawanego bezpłatnie na ulicach wydawnictwa „Kurjer dla Wszystkich Tygodnia Dziecka“ (nakład 100.000 egzemplarzy) — zwłaszcza, jeżeli się zważy, jaką gromadę ubogich dzieci można było za cenę takich wydatków nakarmić i przyodziać. Nie wydajemy najlepszego świadectwa naszej epoce, jeżeli jak odkrycie ogłaszamy plakatami uchwalony w Genewie „Dekalog Dziecka“, obwieszczający światu, że „dziecko głodne winno być nakarmione“, „dziecko chore pielęgnowane“, „dziecko wykolejone—zwrócone na właściwą drogę“ itd. Najznamienniejsze jest jednakże ostatnie przykazanie tego „Dekalogu“, głoszące, iż dziecko „winno być wychowywane w tem przekonaniu, że obowiązkiem jego jest oddać najlepsze swe dążenia i prace na usługi współbraci“. To „współbraci“ jest naprawdę znakomite: autorowie zgóry już są przekonani, że w przyszłości dziecko musi należeć do wolnomularstwa! Obowiązków wobec Boga, Ojczyzny, bliźnich nie wspomina „Dekalog“ genewski ani jednem słowem.

Jak daleko może posunąć się bezmyślność, niech zaświadczy początek jednego z artykułów, zamieszczonego w poważnym dzienniku. „Drga w tym tygodniu tysiące serc wzmożoną dla polskiego dziecka miłością“... Jakże to? Więc uczucie tak osobiste, tak głębokie, jak miłość dla dziecka, może „wzmagać się“ na wezwanie z Genewy, może wogóle być w czemkolwiek uzależnione od mniej lub więcej wytężonej akcji reklamowo-propagandowej? Więc tak daleko doszła u nas „standardyzacja“ serc, że już tętno ich karnie przyśpiesza się albo słabnie, w zależności od danego zzewnątrz znaku? A ponieważ z powodu świąt żydowskich odłożono o dzień jeden rozpoczęcie „Tygodnia Dziecka“, więc i „serca polskie“ opóźniły o dwadzieścia cztery godziny „drganie... wzmożoną dla polskiego dziecka miłością“? O, biedne polskie dzieci!...

Jest dzień świąteczny, kiedy serca polskie rzeczywiście drgają żywiej, święto znane polakowi od lat tysiąca, święto i Dzięciątka i Matki, przy dźwiękach kolend, w blaskach Betleemskiej Gwiazdy. Przychodzi na pamięć scena z „Wyzwolenia“ Wyspiańskiego, kiedy Konrad „po długich latach tułaczych“ odnajduje „własny dom“ i w nim, w świętości życia ro-

dzinnego czerpie siłę na walkę ostateczną: „...otwierają się podwoje środkowej ściany w głębi i widać izbę niewielką mieszkalną i drzewko oświetlone i ustrojone, zawieszone u stropu. Nad kolebką pochylona matka ssać daje piersi dzieciątku i kołysze się w takt nuconej półgłosem kolendy... Gwiazda zeszła i świeci, nad kolebką dziecięcą, nad miłością zabłysła matczyną...“

Wyspiański był poetą narodowym i żywem źródłem poezji stała się w jego oczach wizja Wieczoru Wigilijnego. Czy znajdzie się obecnie poeta „państwowy“ (biorący pod uwagę drażliwości religijne współobywateli — żydów) który wybuchnie pieśnią, kiedy mu przed wzrokiem wyobraźni stanie zjawa... posiedzenia Komitetu Organizacyjnego „Tygodnia Dziecka“?

JAN REMBIELIŃSKI

POLEMIKA

PAN Aureli Drogoszewski odpowiada teraz w „Wiadomościach Literackich“ (nr. 39) na mój artykuł polemiczny, ogłoszony w „Myśli Narodowej“ w r. 1925 (nr. 13). Po trzech latach... Zapewne dobrze się namyślił.

Początek polemiki sięga r. 1923, kiedy to pan Drogoszewski w masońskim „Przeglądzie Humanistycznym“, wspomniawszy z najwyższem lekceważeniem o kilku moich książkach z dziedziny krytyki literackiej, wypisał pod moim adresem szereg impertynencyj, źle spełniając obowiązek informatora. Złożyłem już w życiu dowody zaparcia i braku zarozumiałości, ale to mnie zbuntowało. Miałem do czynienia z pisarzem, należącym do pożałowania godnego grona, które służy sprawie zabijania milczeniem ludzi pracujących na polu narodowem, lub mordowania ich w opinji złą notą. Musiałem wystąpić sam, bo wiedziałem, że nikt za mną się nie ujmie. Teraz gniewa się na mnie nie za to, żem go „zgnębił“ wówczas, lecz żem

„stracił elementarne poczucie taktu i przenosząc swój artykuł do książki (Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim, 1927), w sposób tak nieprzyzwoity złączył sprawę urazy osobistej ze wspomnieniami i refleksjami o wielkich pisarzach polskich, tych, co niedawno odeszli a są dumą i miłością ziemi polskiej“.

Znieważyłem więc groby. Ten sposób ujmowania sprawy świadczy o inteligencji p. Drogoszewskiego, zwłaszcza gdy się to złączy z zarzutem formalnym, że „śmiałem“ w książce, noszącej „sensacyjny“ tytuł „Wspomnienia“, zamieścić rzecz, która nie jest wspomnieniem. Dla mnie jest ona wspomnieniem i wiele się tam mówi o Kasprowiczu. Pierwszy raz zresztą widzę krytyka, który ocenia treść miarą tytułu.

Żeby wyjaśnić swoje stanowisko wobec moich książek p. Drog. pisze naiwnie, jak barbarzyńca:

„Istotnie mam to przeświadczenie, że teoretycy obozu narodowego z a t r u w a l i z a w s z e d u s z ę p o l s k ą. N i e n a w i d z ę ich dzieła“.

Zdawaćby się mogło, że na polu literatury narodowej, której p. Drogoszewski zawodowo służy, jest tych obozów co niemiara, a narodowy jest jakimś przypadkowym, którego można nienawidzieć — bez szkody dla siebie. Po wszystkie czasy obowiązującą dla historyka literatury miarą był stosunek do niej obozu narodowego. Teoretycy tego obozu nigdy nie zatruwali duszy polskiej; przypomnę panu Drogoszewskiemu choćby Mickiewicza.

Celem artykułu pana Drog. było dowieść mi, że nie mam „poczucia odpowiedzialności“ za słowa. Ciekawym, czy też on zdaje sobie sprawę ze słów, które wyżej przytoczyłem. Zdaje się jednak, że jest wogóle nieodpowiedzialny. Bo oto w jednem miejscu prawi, że do siebie samego stosuje ściśle miarę sumienności, jako historyk literatury:

„Zdarzyło mi się słyszeć o p. Wasilewskim, że jako badacz literatury jest niedoceniony. W jego dorobku są istotnie rzeczy ważkie. Oddaje się j e d n a k pracy na tem polu dopadkami“...

I tu zaczyna się wymyślanie. Człowiek odpowiedzialny napisałby tak: „W jego dorobku są istotnie rzeczy ważkie, p o m i m o ż e odaje się pracy na tem polu dopadkami“. Okoliczność „dopadków“ nie jest obciążającą, lecz wzmacnia zasługę.

I oto szczyt sumienności:

„Właściwem polem jego (Wasilewskiego) pracy jest publicystyka, dziennikarstwo, agitacja. Agitacja nie przebierająca w środkach, zdążająca do celu drogą najkrótszą... D z i ś t a k, j u t r o i n a c z e j, byle zamiar był osiągnięty“...

P. Drogoszewski wyższość swoją widzi w tem, że nie stosuje „płodozmianu“, zajmuje się całe życie tylko skowronkami poezji. A ja mu powiem: szkoda! Boby uprawiał publicystykę legalnie, nie przemycając jej przez krytykę i w krytyce możeby doszedł do „rzeczy ważkich“. Czułby może obowiązek zajmować się całością piśmiennictwa i nie wystawiałby sobie świadectwa nieuctwa i braku poczucia odpowiedzialności.

Wszystkie swoje pisma publicystyczne wydaję w książkach, zestawione chronologicznie i bez przeróbek; należą one do literatury i każdy poczytalny krytyk wie, że nie piszę „dziś tak, jutro inaczej“. Dosyć zestawić: „Myśl przebudowy“ 1911, Orjentacja wewnętrzna“ (II wyd. „Na wschodnim posterunku“) 1916, „O życiu i katastrofach cywilizacji“ 1920, „Dyskusje“ 1926. Są to cykle tej samej rozwijającej się myśli. Twierdzenie czegoś wręcz przeciwnego wobec tych faktów, które są pod ręką, nie dowodzi poczucia odpowiedzialności za słowa.

Wobec tego co wyżej, a co tyczy sensu i moralności, nie będę polemizował z p. Drogoszewskim o *meritum* zagadnień dziedziczności i rasy w duszy Kasprowicza. Są to zagadnienia psychologiczne dla niego zdaje się trudne, bo nie przemyślane. Wydaje mu się np. że przypisuję dziedziczności moc przekazywania samej poezji; upatruje sprzeczność logiczną, gdy mówię, że poetą jest człowiek, który poetą się rodzi (indywidualnie), bo przecież inni z tego rodu nie są poetami. Pan Drog. ma swoją „naukową“ teorję, nie jakąś Taine'owską lub „dziennikarską“. Według niego

„Indywidualność zależy od dziedziczenia właśnie przez p o k r z y ż o w a n i e się — i nie typów' nawet, ale indywidualności“.

Otóż to. Nie wiem, co znaczy to „nawet ale“, to jednak widzę, że do rozdrażnienia doprowadziło p. Drogoszewskiego, iż w Kasprowiczu ośmieliłem się doszukiwać czystości rasy i tej czystości coś przypisywać. Tylko przez krzyżowanie, właśnie przez krzyżowanie...

To nie jest dziennikarstwo! Pan Drogoszewski tak przejął się ideą asymilacji, że nie może słuchać o czystości rasy, wyraz „narodowy“ wymienia w cudzysłowie, nienawidzi stanowiska narodowego. Ale co najzabawniejsze, że swoje stanowisko poczytuje za... wyższe.

Uważa pewno ten swój pogląd za naukowy. Nie wiem, czy robił specjalne doświadczenia hodowli genjuszów przez krzyżowanie. Mam jednak wrażenie, że jest to raczej dezyderat publicystyczny, zrodzony

w głowie nie tyle humanistycznej, ile „ludzkościowej", jak się mówi w krzyżowanych „Wiadomościach literackich". Polska jako naturalna stacja doświadczalna nie wykazuje dodatnich rezultatatów z krzyżowania krwi polskiej z semicką. W żadnym jednak razie nie mamy podstaw traktować pesymistycznie swojej rasy. Zresztą może się co zyskuje na krzyżówce, ale na czystości nikt nie traci.

Chciałbym zaproponować p. Drogoszewskiemu, aby sobie wyobraził na chwilę, że jesteśmy obaj — przepraszam go bardzo — publicystami, a gdyby go to żenowało, to zgódźmy się, że jesteśmy obaj poetami — to ładniej. Jakby to było pięknie — tak sobie marzymy — osiągnąć niepodległość zupełną: i polityczną, i cywilizacyjną, i materjalną, i fizyczną. Byłby to stan wolności, samodzielności, wyzwolenia, wolna twórczość ducha i krwi.

Bo krew i duch się wiążą. Wyspiański, marząc jak my teraz o wyzwoleniu (a był to nielada skowronek), powiedział:

„Przedewszystkiem powinniśmy uszanować krew narodu i nie dać jej marnować. Nie powinniśmy pozwolić naszych kobiet obcym, którzy siedzą wśród nas... Czynimy podłość, która się prędzej czy później odezwie w charakterze potomstwa. Wytwarza się tłum ludzi obojętnych dla naszego narodowego społeczeństwa, którzy go zaprzedają"...

Gdybym był kiedy w jakiej loży zahypnotyzowany na „krzyżówkę ludzkościową", to oczywiście nie dbałbym o „narodowe społeczeństwo", utrzymywałbym, że Wyspiański zatruwał duszę polską, nienawidziłbym jego dzieła i byłbym uważany za krytyka naukowego. Tymczasem tęskni mi się wiara w genjalność krwi polskiej i chciałbym, żeby na tym punkcie nie było tak wielkich rozbieżności w krytyce polskiej. Dlatego ośmieliłem się odwołać do uczuć „niepodległościowych" p. Drogoszewskiego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Po tegorocznem zgromadzeniu Ligi—Polska i sprawa Nadrenji—Sprawy polsko-litewskie — Czy tworzenie większości sejmowej?

WYNIKI działalności dyplomacji polskiej na tegorocznem Zgromadzeniu Ligi Narodów nie mogą być — nawet przez zawodowych chwalców i optymistów—uznane za pomyślne. Dwie sprawy przedewszystkiem mieli w roku bieżącym do załatwienia przedstawiciele nasi w Genewie: zabezpieczenie naszych granic zachodnich wobec projektów wcześniejszego zniesienia okupacji francuskiej w Nadrenji oraz doprowadzenie do nawiązania normalniejszych stosunków politycznych między Polską i Litwą. W obu wypadkach rezultaty są gorzej niż małe.

Jeśli chodzi o projekty opuszczenia przez wojska francuskie Nadrenji, jest rzeczą widoczną dla każdego, że Polska w tej sprawie zainteresowana jest najbardziej bezpośrednio, bo straż francuska nad Renem — to niezawodny środek na ochłodzenie po dawnemu jeszcze żywej w społeczeństwie niemieckiem żądzy odwetu. Stwierdził to słusznie całkiem minister spraw zagranicznych Zaleski, oświadczając przed niedawnym czasem w Paryżu, iż zagadnienie przedwczesnego opróżnienia Nadrenji jest dla Polski sprawą pierwszorzędnego znaczenia i nie powinno być bez jej udziału rozstrzygnięte. To też za poważne niepowodzenie polityki naszej uznać należy fakt, że do wstępnych rokowań w tej sprawie, w których uczestniczyli przedstawiciele Niemiec, Anglji, Belgji, Francji, Włoch i Japonji, przedstawiciel Polski zupełnie nie został zaproszony. I aczkolwiek półurzędowa „Epoka" uspokaja, iż „minister Zaleski mieszkał w Genewie w tym samym hotelu „*Des Bergues*" co i Briand i widywał się z nim 4 razy dziennie", to, niestety, ten stały kontakt nie dopomógł mu do uzyskania jakiegokolwiek oświadczenia, że słuszne żądania Polski będą w dalszych rokowaniach w sprawie opuszczenia Nadrenji w należyty sposób uwzględnione.

Jeżeli chodzi o zagadnienie stosunków polsko-litewskich, Zgromadzenie Ligi Narodów, zgodnie zupełnie z dążeniami p. Woldemarasa, ponownie odłożyło ostateczne rozstrzygnięcie sprawy. Dziewięć miesięcy minęło, odkąd Polska przez narady wileńskie, głośny wywiad marsz. Piłsudskiego o stanie zdrowia premjera Woldemarasa oraz podróż marsz. Piłsudskiego do Genewy postawiła na porządku dziennym sprawę stosunków polsko-litewskich i załatwienie jej przeniosła na teren Ligi Narodów. Od tej chwili rzecz nie posunęła się ani na krok naprzód. Trudno się w tych warunkach oprzeć wrażeniu, że taktyka dyplomacji naszej w tej sprawie od początku nie była szczęśliwa, skoro jedynym jej skutkiem jest perjodyczne dawanie światu widowiska bezpłodnego procesowania się z p. Woldemarasem na posiedzeniach genewskich. Czyż to zwiększa nasz autorytet mocarstwowy i czy to było celem, do któregośmy dążyli?

Być może, że stan rzeczy na terenie międzynarodowym, łącznie z położeniem gospodarczem kraju, są powodem, że coraz częściej poruszana jest w prasie myśl wytworzenia w Sejmie jakiejś stałej, czy przynajmniej stalszej większości, mogącej dać trwalsze parlamentarne oparcie polityce rządu. Oczywiście chodzić tu może jedynie o wytworzenie jakiejś większości centrowo-lewicowej, a więc przedewszystkiem o porozumienie Bezpartyjnego Bloku z Polską Partją Socjalistyczną, czemu zapewne dopomódz ma narada przewodniczących klubów sejmowych, zwołana przez marszałka Daszyńskiego. W prasie „sanacyjnej" inicjatywa ta przyjęta została bardzo przychylnie.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

„BAJDA O NIEMRAWCU"

NAKŁADEM Bibljoteki Medyckiej (z datą Medyka 1928) wyszła książka: Jan G. H. Pawlikowski „Bajda o niemrawcu". Dzieło to, pięknie wydane, zdobi kilka ilustracyj drzeworytowych Władysława Skoczylasa. Utwór, nazwany przez autora bajdą, zapisany będzie w bibljografji w dziale powieści, jest zaś poematem w prozie, nowelą poetycką, fantazją opartą na realistycznych podstawach. Autorem jest Jan Pawlikowski (junior), brat Michała z Medyki, a mąż Marji Pawlikowskiej, znanej poetki.

Literatura zyskuje utwór wielkiej wartości artystycznej. Pojawienie się jego sygnalizował przed paru laty w „Słowie Polskiem" St. Pieńkowski na podstawie rękopisu i nie pomylił się w ocenie. Pawlikowski włożył w dzieło wiele pracy, kierowanej doskonałą świadomością artystyczną. Zbudował opowieść w stylu podhalańskim z poziomu wyobrażeń o przyrodzie ludu górskiego, jego językiem. Akcję oparł na życiu osiedli ludzkich, ale wyprowadził ją w góry i wyżej. Dramat dzieje się na pograniczu świata ludzkiego i nadprzyrodzonego. Bohaterem jest wiatr Halny, dla którego Pawlikowski stworzył cały system mitologiczny. Bohaterką jest dziewczyna, góralka Ewa (Jewka), w której skupił

tęsknoty metafizyczne człowieka. Zagadnienie poetyckie rozwiązał bardzo szczęśliwą ręką. Całość utrzymana w obrazie realistycznym, nieraz przedziwnej piękności. Dobre czasy „Skalnego Podhala" Tetmajerowego są już poza nim. Otwiera swojem dziełem widok na nowe możliwości dróg, leżących przed sztuką polską.

Rzuca się w oczy pokrewieństwo koncepcji artystycznej z niedawno ogłoszonemi w Warszawie utworami Stefana Godlewskiego, którego „Grabinka" i „Pronobis" są próbą wydobycia mitu z historycznego podłoża Warszawy. Obie te próby wskazują, że rozwój literatury podąży w kierunku narodowym i pogłębiać się będzie poezją życia rodzimego. Od romantyzmu balladowego poprzez realizm sztuka idzie dalej, aby wydobyć z poznanej dobrze rzeczywistości tajemnicę wieków i wiecznego legendarnego piękna.

Dzieło Pawlikowskiego zajmie poczesne miejsce w literaturze. Nie da się tego powiedzieć o jego współpracowniku p. Skoczylasie. Nie zdołał uchwycić idei poety. Malarstwo jego, zbyt ociężałe w rutynie, zależało pola, zatraciło prostotę, odczucie rzeczy nieznanych, które kiedyś podziwiał na szklanych malowidłach starogóralskich.

W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

P. Adam Münnich napisał rozprawę o St. Przybyszewskim (Toruń 1928 r. 1) i starannie ją wydał, ozdobiwszy portretem. Jest to obszerny opis życia i prac połączony z zarysem zasadniczych idej w pismach Prz. zawartych. Wadą tej pracy jest panegiryczna przesada, a zaślepione uwielbienie, wyrażane w upartym superlatywie, nie zastąpi dowodnego argumentu. Nie usprawiedliwia tego stanowiska ten motyw, że Przybyszewski był wychowankiem szkoły toruńskiej, krytycyzm bowiem zawsze obowiązuje.

Już w pierwszym wierszu widać, że autor nie będzie się liczył ze słowami. Pocóż używać w rozprawie takich stereotypów nekrologowych, jak ten, że Prz. umarł „w pełni sił twórczych"? Po co inny stereotyp, że stał „w rzędzie największych mocarzy słowa"? Po co utrzymywać, że Polska go zamęczyła (choćby tak sam Przyb. utrzymywał), nie poznając się na nim, kiedy A. Brückner, który znał czasy niemieckiej twórczości Prz., stwierdza, że dopiero w Polsce znalazł poklask, a nawet kult. Z tego okresu kultu pozostały owe superlatywy: „piewca natchniony Bólu Wszechświata", „drugi obok Kasprowicza Prometeusz współczesności".

Zwłasza gdy mowa o polskim duchu twórczości Przyb. trzeba być ostrożnym, tembardziej gdy się ma zestawiać jego czyn twórczy z czynem Mickiewicza i Słowackiego (s. 20). — A przytem nie należy do dobrych czynów wychowawczych gołosłowna obrona moralnej wartości pism Przybyszewskiego.

Powinniśmy się pozbyć w literaturze i w szkole maniery przeciwstawiania społeczeństwa poecie, jako krzywdziciela tego poety, który nic nie jest narodowi obowiązany, poza kresem jest obowiązku moralnego i politycznego, odwrotnie zaś społeczeństwo winno ze wszystkiego poetę rozgrzeszać, owszem — pomimo wszystko, czem poeta jest i co pisze — bić przed nim pokłony. Krytyka jest od wyjaśnienia zjawiska literackiego w całej rozciągłości, a więc i stosunku jego do społeczeństwa i daleka być powinna od niesprawiedliwości.

Przybyszewski i moralnie i ideowo mało był związany z duchem narodu Nie można zestawiać z Mickiewiczem, Słowackim i Kasprowiczem pisarza, który pozbawiony był nerwu historycznego Polski, który przez dziesięć najlepszych lat twórczych był pisarzem niemieckim, a po kilku latach pobytu w Polsce dobrowolnie do Niemiec jako pisarz niemiecki wrócił i najfatalniejsze miał czucie z Polską w czasie wielkiego aktu historycznego odrodzenia. Krytyk, nie mówiąc już o ideach literackich, które były niemieckie, z tem zjawiskiem moralnem ma obowiązek coś zrobić. W każdym razie winien liczyć się z faktami więcej nawet niż z wyznaniami autora, który nie zawsze bywa krytyczny i prawdomówny. Nie ma poprostu racji robić męczennika z pisarza, który kapany był w hołdach, a gdy powrócić zechciał do kraju, otoczony był opieką i ulokowany na Zamku Królewskim. Polonistyka powinna zerwać z konwenjonalnem kłamstwem i pogrzebowym superlatywem.

*

Powszechnie używanego w szkołach wszelkiego typu podręcznika do dziejów ojczystych, napisanego przez spółkę autorską, Geberta i Gebertową, wyszła cz. III, omawiająca 130 lat ostatnich. O jaskrawej jej tendencyjności, bardzo szkodliwej w książkach bądźcobądź naukowych, niech dadzą pojęcie te cytaty:

„...Wojna powszechna wybuchła w r. 1914. Do walki stanęły... Austrja i Niemcy przeciw Rosji. Inne państwa ...oświadczyły się za Rosją... Polacy nie chcieli, aby rozstrzygano o nich bez nich... Zwyciężyło(!) znane(!) zdanie, by zwrócić się najpierw(!) przeciw Rosji... Wierzono, że Austrja i Niemcy dotrzymają obietnic(?), jakie dały Polakom... Ogłoszono niepodległość Królestwa Polskiego. Królestwo to jednak zupełnie nie odpowiadało nadziejom Polaków. Nietylko nie obejmowało ziem litewsko-ruskich, ale nawet(!) zaboru pruskiego i austrjackiego" (To „nawet" paradne!) Dopiero też wtedy „społeczeństwo polskie zaczęło się zwracać ku ziemi francuskiej", ale tu „rząd niemiecki, lękając się, aby walczące dotychczas przeciw Rosji legjony nie przeszły na stronę koalicji, kazał uwięzić Piłsudskiego" (*notabene*, na jego własną prośbę, ale o tem książka milczy!)

Ładną strawą się karmią dzieci, zwłaszcza te ze szkół powszechnych!

*

Nakładem Bibljoteki Polskiej w wydawnictwie arcydzieł naszej literatury, przeznaczonem dla młodzieży szkolnej i przystosowanem wyśmienicie do potrzeb nauczania literatury polskiej w szkole średniej, w wydawnictwie, zatytułowanem Wielka Bibljoteka, a redagowanem przez p. W. Gałeckiego, ukazał się świeżo „Pan Tadeusz", opracowany przez... pana Jana Nepomucena Millera. Zdawałoby się, że niedawne bezwzględne, niesmaczne i nieinteligentne napaści p. Millera na to najwyższe arcydzieło naszej literatury (w rodzaju np. oskarżania ks. Robaka, że nie wyjaśnił szlachcie w karczmie, co rozumie pod słowami „oczyścić dom z śmieci", lub też ogłaszanie Buchmana za jedyną postać myślącą w tym utworze), gruntownie zdyskwalifikowały go do roli wydawcy tego naczelnego dzieła Mickiewicza, jest bowiem organicznie obcy wszystkiemu co polskie. Aliści kierownicy Bibljoteki Polskiej myśleli widocznie inaczej, bo właśnie p. Millerowi — jak gdyby w całej Polsce nie można było znaleźć nikogo odpowiedniejszego—powierzono to zaszczytne zadanie, które p. M. zepsuł całkowicie, włożywszy do beczki miodu łyżkę dziegciu, czyli dołączywszy śród *appendix*'ów i swoje własne aroganckie i płytkie uwagi. Wobec tego nie przypuszczamy, by znalazł się choćby jeden nauczyciel-polonista, któryby swym pupilom polecił to nieudane wydawnictwo.

*

Nakładem księgarni F. Hoesicka ukazał się polski przekład książki b. posła włoskiego w Warszawie Francesco Tommasini'ego p. t. „Odrodzenie Polski". Jest to zbiór wspomnień i wrażeń z okresu misji p. Tommasini'ego w Polsce, a więc z lat 1919 — 1923. Nastroje, w jakich wspomnienia swe pisał p. Tommasini (bezpośrednio po odwołaniu z Polski w listopadzie r. 1923), wyjaśnia częściowo przytoczony przezeń artykuł krakowskiego „Głosu Narodu" z dnia 22 listopada 1923 r. W artykule tym pisano między innemi: „Poseł Francesco Tommasini, o którego dymisji zamieściliśmy krótką notatkę, był pierwszym przedstawicielem Włoch w odrodzonej Polsce... W 1919 roku rząd germanofila Nitti'ego przysłał go do Polski, gdzie p Tommasini'emu, masonowi i radykałowi z przekonań, przypadło w ostatnim czasie reprezentować niesympatyczny mu rząd faszystowski... P. Tommasini jako mason był przeciwnikiem rządu obecnego w Polsce i sprzyjał naszej lewicy... To nielojalne stanowisko posła zostało podkreślone przez min. Seydę na jednej z konferencyj prasowych i stało się zapewne jednym z powodów odwołania p. Tommasini'ego".

Jest rzeczą godną zauważenia, że przytaczając w swojej książce powyższy artykuł, p. Tommasini nie zaprzecza bynajmniej wiadomości, iż jest masonem, zaznacza tylko, że twierdzenie to jest „dowolne"...

*

Na uwagę zasługuje książka Walerjana Charkiewicza o Placydzie Jankowskim (Wilno 1928, nakładem Koła polonistów, uczniów U. S. B., str. 206). Jankowski (1810-1875) pierwotnie duchowny unicki, potem prawosławny, b. uczeń Wileńskiego Uniwersytetu, był dość znanym swego czasu pisarzem polskim, i pisywał pod pseudonimem: John of Dycalp. Książka daje analizę twórczości zapomnianego pisarza na szeroko, starannie i bardzo zajmująco podmalowanem tle obyczajowem i historycznem, rzucając dużo światła na doniosły moment historyczny w dziejach kresów wschodnich: na katastroficzne załamanie się Unji, co pociągnęło za sobą w nieubłaganej konsekwencji rusyfikacje ludu białoruskiego i w znacznej części polskiego społeczeństwa. Autor umiejętnie dowodzi, że rusyfikacja ta była przeważnie dobrowolna, i popiera to przykładem Jakubowskiego, rdzennego przecież Polaka, oraz całego mnóstwa duchownych unickich, z osławionym Siemaszką na czele.

Książka Charkiewicza jest nader chlubnem świadectwem pracy studentów-polonistów Uniw. Wileńskiego.

*

W serji „Prac Instytutu Mesjanicznego im. Hoene-Wrońskiego“ ukazało się wielkie dzieło myśliciela francuskiego Fr. Warrain'a o filozofji Hoene-Wrońskiego. w przekładzie J. Jankowskiego i P. Chomicza („Wiązanie metafizyczne sporządzone według prawa stworzenia Hoene-Wrońskiego“. Wyd. Arcta 1928).

F. Warrain, opierając się na słynnem prawie metafizycznem Wrońskiego zapomocą jego „ustanowienia triadycznego“ łączącego byt, wiedzę i czyn, usiłuje niezależnie od koncepcji Absolutu, grającej tak wielką rolę u naszego filozofa, a uwzględniając nowsze kierunki filozoficzne, dojść do tej samej koncepcji rzeczywistości, stanowiącej jądro ontologji Wrońskiego. Jeżeli sam Hoene-Wroński należy do najtrudniejszych filozofów, to i traktat p. Warrain'a jest mało dostępny dla wykształconych nawet czytelników. Zbyt abstrakcyjne ujmowanie zagadnień, nie dość jasno postawionych, sprawia, że nieraz czytelnik równie łatwo zgodzi się z autorem jak i zaprzeczy mu. Jest to zresztą zwykła wada systemów metafizycznych, unikających pomocy psychologji, historji filozofji, przykładów i analogij. Spolszczenia terminów niezawsze są szczęśliwe i zadużo ich. Książka wydana b. starannie w 150-ą rocznicę urodzin Hoene-Wrońskiego jest bardzo pięknym aktem uczczenia największego z myślicieli polskich.

Jeśli chodzi jednak o odświeżenie przeszłości i pobudzenie zainteresowań, to zdałoby się wydać starą „Filozofję“ Józefa Kremera. Dopiero z takiej lektury świetnego stylisty i estety nabranoby u nas prawdziwego gustu do zagadnień filozoficznych.

U SŁOWIAN

Jeden z wybitniejszych pisarzy czeskich Antal Stasek obchodzi w b. r. 85-tą rocznicę urodzin. Stasek (właściwie Antonin Zeman) zasługuje i u nas na uwagę nie tylko jako wybitny powieściopisarz bratniego narodu, ale także jako jeden z najgorętszych czeskich polonofilów. Polonofilizm ten pojawił się u niego jeszcze w latach szkolnych (kończył studja w Krakowie). Wpływ polskiej poezji, głównie mistycznej (Słowackiego przekładał później), zaznaczył również się w twórczości Staska (głównie młodzieńczej, tu wymienić można np. poemat *„Vaclav“*, dwa tomy „Wierszy“ 1876, 1880). Oryginalna twórczość Staska, powieści i nowele, malują przeważnie lud wiejski, szczególniej się zajmując kwestjami moralnemi i obyczajowemi. Z biegiem czasu przechodzi Stasek od romantycznej epoki lat młodzieńczych ku realizmowi. Z ważniejszych dzieł można wymienić: *„Nedokonceny obraz“* 1878, cykl nowel *„Blouznivci nasich hor“* 1895, *„Na rozhrani“* („Na pograniczu“ niemiecko-czeskiem, 1908); zbiór nowel *„Otrelá kolecka“* (Starte kółka) uważany jest za dyskretny autoportret Staska. Zajmujące są wydane niedawno wspomnienia: *„Pameti“*, zawierające wiele gorących słów pod adresem Polski.

*

Praski tygodnik rosyjski *„Centralnaja Ewropa“* przynosi w 6-ym num. bieżącego (II) rocznika m. in. zajmujący artykuł o poezji Rusinów karpackich, z powodu uroczystości związanych ze 125-ą rocznicą urodzin twórcy tej poezji Al. W. Duchnowicza. Artykuł wylicza po nim jeszcze poetów A. J. Pawłowicza, Fencika, Popradowa, współczesnych Mich. Popowicza i Andreja Karabelesza. Pierwszy z nich z dużym artyzmem formy wciąż jeszcze nawołuje do wzmacniania poczucia narodowego, drugi pisze nader oryginalne swym miejscowym kolorytem liryki. Cały ruch literacki na Rusi karp., trwający zatem nie wiele dłużej ponad wiek, stoi pod silnemi wpływami literatury rosyjskiej, którym ulegał i Duchnowicz.

*

Wychodzący w Pradze już IV rok, poświęcony Łużycom miesięcznik *„Cesko Luzicky Vestnik“* („Kurjer czesko-łużycki“) w ostatnich swych numerach 4—6 (marzec—czerwiec) przynosił stałą kronikę o życiu Serbów łuż. i oryg. utwory literackie. Z innych artykułów godne uwagi jest (w n-rze 5.) sprawozdanie z niedawno urządzonej w Paryżu wystawy słowiańskiej sztuki ludowej „Od Łaby po Adrjatyk“, w której wzięli udział i Łużyczanie. Na wystawie znalazły się rysunki, drzeworyty (zwłaszcza godne uwagi M. Nowaka), fotografje z życia ludu łuż., figury ubrane w oryg. stroje ludowe a nawet całe sceny z życia wsi łuż. Opisujemy to tak obszernie dlatego, by podkreślić doniosłość przedsięwzięcia, którego organizatorzy umieli w ten sposób zapoznać najszersze koła publiczności francuskiej z istnieniem najmniejszego narodu słowiańskiego. Prasa francuska przyjęła wystawę nader pochlebnie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W zbiorze *„Leurs Amours“*, wydawanym przez Flammarion'a ukazała się po całym szeregu innych, a ciekawych biografij romantycznych z życia sławnych ludzi, biografja Marji Walewskiej. Autorem jej jest znany pisarz francuski p. Binet-Valmer. Uroczą postać tej, którą nazywa „polską małżonką“ Napoleona — gdyż jedynie ona kochała Cesarza prawdziwą i głęboką miłością żony — otacza on prawdziwym kultem swej własnej znowuż dla niej, a dawnej, jak mówi, miłości. W utworze tym fantazja spleciona jest z historją. Wyobraźnia autora jest żywa, a styl subtelny. Książka ta zawiera niezmiernie wzruszające obrazy życia kobiety, o której powie autor, że doznała w swej krótkiej, a bolesnej egzystencji dwie miłości: miłość ojczyzny i Napoleona.

*

P. Etienne Rey, autor utworu *„De l'Amour“*, publikuje obecnie w kolekcji *„Notes et Maximes“* niemniej ciekawe stronice, poświęcone powodzeniu. Mała ta książeczka, nosząca tytuł *„La Chance“* (Hachette édit.) zawiera jednakowoż bogate spostrzeżenia odnoszące się do losu, który autor tak słusznie nazywa *„ce sourire de l'inconnu“*, gdyż szerokie jego pole działania jest tak niepewne, niestałe, a obce zupełnie wywodom rozumu.

*

Nasze pokolenie jest świadkiem ciekawych zmagań się kontynentów. Budzi się Azja, a z roku na rok wzrasta potęga Ameryki. Jej ustrój, jej metody coraz uważniej są studjowane, a bogactwo imponuje. Ale czy ten organizm młodego świata jest zupełnie zdrowy, o tem wątpią niektórzy. Do rzędu tych właśnie należy p. Victor Llona, jakkolwiek będący wielkim propagatorem tamtejszej literatury. W bardzo ciekawej książce, o *„Ku-Klux-Klan“* (Baudinière édit.), daje nam na podstawie poważnych badań, cały szereg przejmujących obrazów z działalności tej sekty, a odnoszących się do prześladowań murzynów, katolików i cudzoziemców.

*

Na półkach księgarń warszawskich ukazała się w tym roku importowana z zagranicy nowinka: *„George Philip's Slandy Atlas of the World“* — podręczny atlasik geograficzny angielski, przeznaczony dla szerokiej publiczności, mający najwidoczniej konkurować z popularnemi niemieckiemi wydawnictwami tego rodzaju. Zrazu z sympatją biorąc do ręki ten atlasik, odnosi się jednak szybko wrażenie przykrego niesmaku. Polska, według objaśnień p. Philipsa, jest tem jedynem na świecie państwem, które granice ma „jeszcze nieustalone“. Tendencyjność tem śmieszniejsza, że na brak ustalonych granic cierpi w atlasiku Polska, ale nie cierpią jej sąsiedzi. W r. 1928, gdy nie brak dobrych atlasów wszelkiego typu, niepotrzebnie się znalazł na składzie polskich firm ten towar oszukańczy.

*

Znane dzieło Buckle'a o cywilizacji angielskiej przestarzało się, zdaniem Anglików, bardziej, niż to się wydaje cudzoziemcom. Także i najpopularniejsza do dziś, urabiająca pojęcia mas, historja Greena, napisana przed pół wiekiem, bijąca inne dzieła żywością opowiadania, wobec wyników badań nowych nie może już aspirować do ścisłości historycznej. O nowy wykład popularny, a dociągnięty do poziomu wiedzy dzisiejszej pokusił się dr. Esmé Wingfield Stratford, opracowując „Historję Cywilizacji Angielskiej“ od czasów prehistorycznych aż do Wielkiej Wojny. Nie odbiegając daleko od szablonu poglądów dawniejszych, przedmiot swój dzieli według następujących wytycznych: 1) Cywilizacja, 2) Cywilizacja protestancka, 3) Oligarchja 4) Wiek maszyny.

*

Lord Reading, b. wicekról Indyj, obok Monda, Samuelsa i niedawno zmarłego Montagu jeden z tych żydów, co, w Anglji dzisiejszej wysunęli sie na najwyższe państwowe urzędy — doczekał się już swego biografa-panegirysty. Jest nim p. C. J. C. Street (*„Lord Reading“*, wyd. G. Bles, 1928). Do bohatera swego odniósł się on, jak stwierdzają recenzenci angielscy, „taktownie“, niewiele więc dowiadujemy się o niciach, łączących Isaacsa Rufusa, przyszłego lorda, ze środowiskiem i tradycjami żydowskiemi. Niemniej niektóre szczegóły biografji są ciekawe — Rufus urodził się, jako syn rodziny zamożnej; jakaś fantazja skłoniła go do odbycia praktyki marynarskiej, lecz ulegał jej krótko; niebawem parę lat spędza w Niemczech, prowadząc interesy ojca. Próbuje spekulacyj giełdowych — bez powodzenia, nie powodzi mu się też w adwokaturze. Postanowił więc wyjechać po lepsze szczęście do Ameryki. Był to punkt przełomowy w jego życiu. Gdyby decyzję w czyn wprowadził, Anglja straciłaby jednego z najznakomitszych swoich współczesnych „mężów stanu“, Ameryka możeby jednego zyskała... Nie wyjechał tylko dzięki perswazjom matki, która pragnęła widzieć karjerę adwokacką syna w Anglji. Pewna sprawa handlowa nie-

spodziewanie wyrobiła mu rozgłos, który wkrótce urósł w sposób bajeczny. Jako znakomity adwokat, przez parlament wchodzi do polityki, piastuje urzędy ministra sprawiedliwości, ambasadora w Waszyngtonie, wicekróla Indyj... staje się postacią, ponętną dla współczenych panegirystów, aczkolwiek p. Street nie posunął się jeszcze do uwielbienia, jakiem Maurois (Hertzog) w rozreklamowanej swej książce darzy Disraëlego...

TEATR

NOWA KOMEDJA PERZYŃSKIEGO

W TEATRZE Narodowym Włodzimierz Perzyński wystawił nową komedję p. t. „Dziękuję za służbę“. Wypowiada te słowa na końcu aktu pierwszego pani domu, żona „szekspirologa“ uczonego profesora i matka dwojga dorosłych dzieci, po 23 latach od założenia tej rodziny. Przekonała się, że nie jest w rodzinie nikomu potrzebna. Mąż samolub i megaloman traktuje ją z nienawiścią, dzieci przez ojca nauczone matkę lekceważą. Póki była młoda, była potrzebna mężowi, potrzebowały jej też dzieci, póki były niedołężne. Teraz spostrzega, że w tej instytucji jest zbędna. Dziękuje tedy za służbę.

To jest jedna komedja (tak ją autor nazywa), a potem następuje druga, do tamtej przystawiona. W akcie drugim, gdy bohaterka, porzuciwszy dom i znalazłszy posadę, mieszka w pensjonacie, zjawia się amator (bo chyba nie amant), który pragnie się z nią ożenić. Jest mu wzajemna, mąż ją zwalnia, rozwód wszczęty. Ale nieszczęsna ofiara rodziny odmawia konkurentowi ręki. Chce być wolna. I to jest druga komedja.

Następuje trzecia w akcie trzecim. W duszy kobiety toczy się walka, zdawało się już rozstrzygnięta: wrócić do rodziny, czy nie wrócić. Bo właściwie nic się nie zmieniło. Tęskni do dzieci, a te po dawnemu ją wyzyskują. Syn zabrał jej ostatnie 50 zł., córka chce jej zabrać ostatnie szczęście, człowieka, który ją kocha. Jakby chodziło tylko o argument logiczny, radzi się owego przyjaciela, a ten dialektycznie zniewala ją wreszcie. Założą nową rodzinę.

Trochę zapóźno... I to jest okoliczność bardzo ważna dla tej sztuki. Bo pierwsza rzecz to przekonać audytorjum. Bądź co bądź potrzeba zakładania rodziny u źródła swego jest sprawą gatunku. Córka bohaterki ma lat 23 i jeszcze nie wyszła za mąż; matka wyszła pewno nie wcześniej; ma teraz 46 lat. Jest złamana i zgaszona. Amant siwy, dobry djalektyk, ale publiczność bez przekonania traktować musi motyw jego namiętności. Bo — co tu gadać — jedynem wytłumaczeniem takiego faktu, jakim jest związek miłosny, połączony z rewolucją rozwodową, byłby tylko f a k t namiętności. Bo przecież nie teorja: masz pani prawo zrobić coś dla siebie itd. Takiego prawa niema i autor znalazł się w fałszywej pozycji propagatora rozwodów tylko dla tego, żeby była komedja. Bo dramat nie idzie w teatrze.

Materjał, którym rozporządzał, prosił się o dramat: zmysł społeczny zwycięża — i matka wraca do domu. Fatalność bynajmniej nie antyczna; to jest los, tkwiący w zasadzie urządzeń społecznych. Bo gdzież to powiedziane, że istnieje wyjście z cierpień, że ustaje ofiara, że niema już dramatu? Wyobraźnia poety ma w tym kierunku drogę prostą. Perzyński w tym wypadku wpadł w niewolę zebranego materjału. Jest namiętnym obserwatorem, który w nim zwalcza myśliciela. Atmosfera jest taka miasta i teatru, że myśliciel łatwo się poddaje. Myśl dała się tutaj pokonać sofisterji adwokackiej.

A dzieło sztuki wtedy jest dobre, gdy można z pokazanego wzorca przez przedłużenie linji dążeń wyprowadzić promień myśli wiecznej. Tutaj zaś co najwyżej można powiedzieć: ostatecznie — można i tak. A tak się mówi tylko o sztuczce, nie o sztuce.

Artyści wywiązali się z zadania bardzo dobrze. Role kobiet — co rzadko się zdarza — obsadzone były należycie.

Z. W.

NA MARGINESIE

Pan Wassercug w oficjalnym organie masonerji śmieje się głupkowato z tych, co piszą o niej. „Nic, ale to nic nie wiedzą“! On sam wie, ale nie powie. Charakterystyczne jest także to, że p. Wassercug nazywa „wrogiem“ społeczeństwo, które od masonerji usiłuje się bronić. Jawór jest wrogiem jemioły, która go wycieńcza, człowiek jest wrogiem pluskwy, która go gryzie. Zagalopował się.

Wassercug utrzymuje, że nie taki djabeł straszny, jak go maluje prasa narodowa i z udanym humorem opowiada historję, jak to Hannibal puszczał byki na wojska Fabjusza dla popłochu. Takie „biki“ puszcza na siebie samo społeczeństwo (takie głupie na całym świecie są społeczeństwa!), żeby się straszyć. Dawniej ten sam autor zaprzeczał istnieniu masonerji, a teraz już inaczej: „Dajmy na to, że jest masonerja, a ja się pytam: nu, co jest?“ Ot, szachraje!

*

W półurzędowej „Epoce“ (nr. 257) tenże p. Wassercug ze „świętem oburzeniem“ przypomina uliczne manifestacje młodzieży z dn. 11 grudnia 1922 roku „przeciwko legalnie obranemu Prezydentowi Rzeczypospolitej“.

Sanacyjny fejletonista nie wyjaśnia, czy — jego zdaniem — następny Prezydent Rzeczypospolitej, p. Stanisław Wojciechowski, był obrany... nielegalnie?

*

Organ sanacji w Wilnie, postępowy „Kurjer Wileński“, którego redaktora powołano niedawno do kierowania sprawami wyznań w minist. oświaty, daje czytelnikom wyjaśnienie w sprawie procesu marjawity Kowalskiego. Oto ustępy: Na temat kościoła marjawickiego toczyła się dłuższy czas „ożywiona polemika, w której odzywały się głosy za i przeciw w zależności od tego, czy dane pismo stało na stanowisku telerancji religijnej, czy też hołdowało określonemu szowinizmowi religijnemu“...

„Sam fakt pożycia małżeńskiego między duchownymi marjawickimi a zakonnicami bez względu na to, jaką drogą do tego doszło... nie jest z punktu widzenia prawa i zdrowej moralności publicznej niczem karygodnem. Czy bowiem pożycie małżeńskie poprzedzał odpowiedni ceremonjał ślubny, czy nie, może to mieć wielkie znaczenie w pewnem większem lub mniejszem stowarzyszeniu czy u poszczególnych jednostek, objektywnie jednak są to rzeczy bez szczególnego znaczenia“,

„Kurjer Wil.“ pisze te rzeczy tonem autorytatywnej interpretacji.

*

Telegram ze Lwowa doniósł dziennikom warszawskim, że w powiatach Buczackim i Kopyczyńskim zdarzyło się trzęsienie ziemi, połączone z hukiem podziemnym. Telegram kończy się słowami: „Władze administracyjne zarządziły zbadanie tego zjawiska przyrody“. Cokolwiek na ten okólnik starostów odpowiedzą wójtowie i sołtysi, nic z tego nie dowiemy się, w naszych bowiem czasach ujawnianie działań podziemnych jest źle widziane.

*

Minister sprawiedliwości p. Meysztowicz, będąc we Lwowie, zwiedził więzienie Brygidki. Ajencja Wschodnia wpadając w trans owej radosnej twórczości, która obecnie jest rysem obowiązującym wszystkich urządzeń państwowych, rezesłała w telegramie wiadomość, jakoby p. minister odniósł wrażenie, że „więzienie to jest faktyczne Eldorado“. Nastąpiło oficjalne sprostowanie, że p. minister tego nie twierdził. Oczywiście nie mógł tego powiedzieć, ale jakże znamienna jest dla sanacyjnych dziennikarzy ta służalcza w pochlebstwach gorliwość. Gdyby taki sanator towarzyszył w podróży Dantemu, to sam Dante straciłby orjentację, gdzie Gehenna, gdzie Eldorado.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY NA R. 1929

MYŚL NARODOWA

Tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej

pod redakcją ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO i JANA REMBIELIŃSKIEGO

Adres Administracji: Warszawa, Al. Jerozolimskie 17. Konto czekowe PKO. **3.105**

Adres Redakcji: Marszałkowska 153.

WARUNKI PRZEDPŁATY NA R. 1929 || w kraju: 9 zł. kwart., 17 półrocz., 32 rocznie || zagranicą: zł. 12 kwart. półrocz. 24, rocznie 45 zł.

z dostawą

CENA ZESZYTU 80 GR.

Od 1 stycznia 1929 r. „Myśl Narodowa“ będzie wydawana co tydzień. Kwartalnie dochodzić będzie do czytelników 13 zeszytów, zamiast 6. Każdy zeszyt będzie złożony ze stron 16, co czyni kwartalnie stron 208, podczas gdy obecny dwutygodnik daje kwartalnie stron 120.

Otwierając prenumeratę na rok 1929, upraszamy o wczesne zamawianie pisma i nadsyłanie jednocześnie należności za kwartał IV rb. na dawnych warunkach, oraz zaległości. Wpłaty najdogodniej uskuteczniać czekami na PKO konto 3.105.

Upraszamy przyjaciół pisma o nadsyłanie adresów znajomych, którzy mogliby i chcieli „Myśl Narodową“ zaprenumerować. Na każde żądanie nadeślemy zeszyty okazowe i czeki. Czytelnicy—nie wątpimy—skutecznie dopomogą w tem wydawnictwu.

Przyjaciele pisma rozumieją jasno, że trzeba przerwać apatję sfer oświeconych, zrażających się do szerszego współżycia umysłowego i współdziałania wskutek zamętu myśli politycznej i etycznej. Przesilenie tego stanu jest już bliskie. Życie bowiem wszystko pokonywa, należy tylko coraz rozumniej je regulować myślą przewodnią. Jest to zadaniem sfer oświeconych, dla których właśnie wydawana jest „Myśl Narodowa“ jako myśl przewodnia.

Sfery oświecone, odpowiadające za losy Polski, nie dojdą do należytej postawy, jeżeli pozwolą sobie wmawiać, że stanowisko narodowe należy do partyjnych. „Myśl Narodową“ wszyscy czytać powinni.

Zamiana na tygodnik pozwoli nam rozszerzyć wiele działów i ożywić je przez związanie z zagadnieniami chwili bieżącej. „Myśl Narodowa“ jest ogniskiem dla szerokiego koła pisarzy paru pokoleń ze wszystkich części kraju. W ciągu paru ostatnich lat korzystaliśmy ze współpracownictwa 130 osób, a w tej liczbie trzecia część należy do najmłodszego pokolenia. Widzieć w tem trzeba dowód żywotności pisma.

W „Myśli Narodowej“ pisuje Roman Dmowski. Aleksander Swiętochowski zamieszcza fejletony „Liberum veto“ w każdym numerze. Stale piszą i redagują: Zygmunt Wasilewski i Jan Rembieliński.

W dziale politycznym i społecznym pisują: Stan. Kozicki, Roman Rybarski, Boh. Wasiutyński, Józef Hłasko, Jan Zamorski, J. Bartoszewicz, Zdz. Stahl, Zyg. Raczkowski, St. Głąbiński, Jerzy Drobnik.

Z dziedziny literatury i sztuki zamieszczają artykuły: Wład. Jabłonowski, Stan. Pieńkowski, J. E. Skiwski, Ign. Chrzanowski, St. Pigoń, W. Bruchnalski, Tad. Grabowski, J. Birkenmajer, St. Cywiński, Wit. Chwalewik, Adolf Nowaczyński, Adam Grz. Siedlecki, A. Wysocki. St. Kołbuszewski, R. Bergel, H. Batowski, I. Briares.

W zakresie zagadnień naukowych (socjologja, historja, psychologja, wychowanie) pisują: Wład. Konopczyński, W. Sobieski, K. L. Koniński, B. Suchodolski, L. Jaxa-Bykowski, Bol. Bator, A. Szpotańska, Bol. Gawecki, L. Konopacki, St. Szpotański, Jan Gw. Pawlikowski, Jan Kornecki.

Utwory swoje umieszczali: Kasprowicz, M. Wolska, Iłłakowiczówna, Zanówna, St. Miłaszewski, W. Miłaszewska, Filochowski, Słonczyńska, Zegadłowicz, Bąkowski, Gałuszka, K. H. Rostworowski, Ruffer, J. Szaniawski, Newlin-Wagner, J. Kawecki, St. Godlewski.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM